

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 3 lutego 1946 r.

Nr. 4 (32)

JAN ALEKSANDER KRÓL

Z ludu w naród

(Z powodu „Ożywczych krynic” Jana Wiktora)

SPOJRZENIE W HISTORIĘ

Mieszkoowi Pierwszemu przypisujemy stworzenie Polski, stworzenie narodu. Pod ręką historyków poucza nas, że ta nowa, większa grupa społeczna powstała z połączenia się kilku niezależnych dotąd plemion. Najczęściej przemycamy się nad zwrotem „z połączenia”, a w nim właśnie kryje się sens tego wielkiego wydarzenia dziejowego. Jakież przemiany wyraża tak krótko ów zwrot? Oto wszystkie wchodzące w skład Polski plemiona zostały wzbogacone nowymi formami organizacji społecznej, nowymi treściami kulturalnym, (nowe prawa, obszerniejszy system wymiaru handlowej, pogłębienie specjalizacji produkcyjnych, wymiana obyczajów, wytworów sztuki i techniki) zostały wzbogacone nową rolą wewnątrz większego układu społecznego, jakim odtąd miał być naród polski i nową rolą, jako jego część wobec innych narodów i całego świata.

Od tysiąca lat rozpoczął się zatem proces uzgadniania tego co społecznie *mniejsze* z tym co społecznie *większe*. Kierunek został wyraźnie wytyczony. Jeżeli ma istnieć naród, wszelkie mniejsze grupy społeczne nie mogą się zamknąć i separować, a przeciwnie otworzyć na włączenie w naród i jego dzieje.

Jedną z takich wewnętrznych grup była i jest ta, która wzrosła w kulturze rolniczej na długo wcześniej niż się zaczęły formować narody, a jej życie i historię określa się nazwą: „kultura ludowa”.

Ale i dziś jeszcze można słyszeć działaczy wiejskich, jak w swych przemówieniach mieszają dwie sprawy: *kultury ludowej* z „warstwą chłopską”. To prawda że chłopów jest 70 proc. w Polsce i zajmują teren Rzeczypospolitej od krańca do krańca, ale „kultura ludowa” swoim zasięgiem nie przekracza tak małej grupy społecznej jaką jest *gromada* jednej wsi. Jej struktura kulturowa, jej więź społeczna zamyka się właśnie w tych granicach. Toteż w ramach „kultury ludowej” można mówić dorzecznie nie o *łączności* setek tysięcy, czy milionów chłopów, ale tylko o *podobieństwie* życia zamkniętych całości *gromadzkich*. I gdyby nie dzieje innych środowisk związanych z nowymi typami organizacji i techniki gospodarczej, później wykształtowanymi ale o większej doniosłości praktycznej — wieś żyłaby sobie po dziś dzień *samowystarczalnie*, jak przed trzema tysiącami lat, ani wiedząc na Podkarpaciu co się dzieje z chłopami w kieleckim, a cóż dopiero na Pomorzu.

Pamiętamy, że Mieszko zaprowadził chrześcijaństwo, był to warunek, bez którego dotrzymania nie mogło zaistnieć państwo Polskie, bo państwo powstawało nie w próżni społecznej, ale w Europie, chrześcijańskiej wówczas Europie.

A chrześcijaństwo uderzyło w pierwszy rzędzie właśnie w kulturę ludową. Tu wymagało największych zrzeczeń i ofiar, największego wysiłku do *postępu*. I gdyby wówczas lud kmiecy tę rewolucję przeszedł szybko i pomyślnie, inaczej by może ułożyły się losy narodu polskiego. W okresie piastowskim nie przeżylibyśmy rozbić dzielnicowych, większa byłaby siła bojowa intensywniejsza produkcja, a z nią bogactwo narodu. A kmiecie, kto wie, czy by się dostali w niewolę pańszczyźnianą?

CO WIDZI J. WIKTOR?

Na kartach „Ożywczych krynic” nie raz przypomina czytelnikowi autor że jego rozmyślenia pochodzą z lat okupacji. Że to pisarz chłopski i Polak w tych strasznych dniach poglądali w przeszłość, wając ją — jeden i drugi.

I co widzą obaj? Widzą najpierw Polskę a dopiero w niej chłopów. I nie widzą inar-

czej chłopów, jak „rąbiących” sobie do niej drogę, albo chłopów od niej „odrąbywanych”.

Polska stanowa! Ta Polska wymaga podwójnego obrachunku. Oto zwlekający i broniący się przed porządkiem, który szedł z zewnątrz, wchodzi wreszcie kmieć w nową nadwczas kulturę. Ale na tyle jest *spóźniony*, że kiedy dla niego jarzmo teologii staje się jednoznaczne z „ludowością” kiedy nie Dziewanna, ale Matka Boska wydaje mu się wiarą jego ojców — wówczas — co mogło dać mu siłę społeczną, staje się źródłem jego poniżenia. „Na kolana” będzie wciąż rozbrzmiewało — jak pisze Wiktor — na przetrzeźnieniu wieków i ono będzie wyrazem niewolnych dusz, posypujących czoła popiołem, wycelowujących stopę, która kopała, rękę, która wiewy zaciskała”. Klasy panujące podyktowały ludowi rolę hańbiącą i za tę cenę zostawiły mu złudzenie, że trwa w swej tradycyjnej strukturze. Złudzenie — bo już na przestrzeni od Popiela do Kazimierza Wielkiego, lud zmienił formy obrzędowe przechodząc z obiat prasłowiańskich na mszę świętą. Ale przez czepianie się tego co dawniejsze, choć by to było owocem przemian byle nie pamiętanych, tracił lud szansę zdobycia przodującej roli w narodzie, a równocześnie maskował przed sobą rosnącą ruinę dawnej kultury sprzed stuleci.

Polska stanowa pokazała, że w tym czego chcieli panowie, chłop poza narodem nie pozostał — J. Wiktor pisze:

„Możny pań dawał złoto, wyciśnięte z tej ziemi i z dłoni tego wyzyskanego ludu, jednakże nie kto inny, ale bezimienny murarz ze wsi palił cegły, dźwigał te strzeliste wieże, wiązał sklepienia, kuł w kamieniu rzeźby, ozdoby, rzezał belki”.

W okresie piastowskim i jagiellońskim — przypomina Wiktor „w każdej walczącej masie wojska, zawsze nieporównanie

większa liczba, walczyła chłopów, niż szlachty”.

A więc lud uczestniczył w życiu poza rolniczym, poza ludowym. Tylko tego innego życia w większych całościach nie pojmował i nie miał nań wpływu. Ocierał się o świat szerszy, coś z niego doń przenikało i za 50 lat okrucz z pańskiej kultury stawał się „ludową” relikwią.

Wiele podobnych przykładów — rozsypał Wiktor na kartach swej książki. Wszystkie one ilustrują przekonanie, że wbrew woli panów „chłop za poradą i pomocą światłych i ofiarnych umysłów w straszliwym wysiłku wyrąbywał się ze swego położenia”.

— „Ktoś musi się podjąć dzieła o udziale chłopskich synów w kulturze narodowej, w służbie ojczyzny”. W tym wezwaniu zawiera się zarys *Nowej Historii Chłopów*. Powinna ukazywać *wdzieranie* się chłopów w *bogatszą i trudniejszą kulturę narodu*. I taka — wyrażała by tradycje, jakiej młode pokolenie, może pozostać wierne, taka, stawiając przykłady talentów, uwiecznionych sukcesem wysiłków indywidualnych i zbiorowych — stałaby się bodźcem dla młodzieży do *przekroczenia* przez nią granicy między ludowym a narodowym.

LUDOWE A NARODOWE.

Silniej niż kiedykolwiek rozbrzmiewa dziś hasło — *Polski Ludowej*. Co ono ma wyrażać? Czy Polskę formującą się z mas ludowych, czy Polskę o „kulturze ludowej”?

W drugim wypadku mielibyśmy w rezultacie do czynienia z próbą *zniszczenia narodu*, ponieważ szłoby tu o cofnięcie się do tej cywilizacji, jaka wystarczała do organizacji i życia grup przed-narodowych.

A wiele słyszelśmy głosów w ubiegłym 25-leciu przemawiających za takim właśnie uludowieniem. Potępiano cywilizację techniczną proponowano odwrót od miast, powrót do ziemi i obcowanie z nią w namacalnym zmysłowym uchwycie wstrzą-

sającym mistycznie. Podsuwano resztki strojów, pieśni i sztuki ludowej z teatrem obrzędowym jako właściwe dziedziny dla wyrazu ducha chłopskiego. Uznawano chłopów tylko w „rolniku” — gospodarzu. A kiedy rzeczywistość mówiła, że na wsi znajduje się 8 milionów ukrytych bezrobotnych, decydowano się na pozbycie się nawet 60 proc. W tej dycyzji zakładano istnienie dwóch światów: wiejskiego i miejskiego przypisując miastu, że ono z przyczyn niewiadomych i przy pomocy mechanizmu wies nie obchodzącego, pochłonie jednak i pomieszczy wiejskich zbędnych. Na „wyrzucenie” godzonej się w imię ideału wsi rolniczej, z obrzędami, z tradycjami, która w tym uszczupleniu przecieży zachowa czystość rezerwatu sprzed wieków.

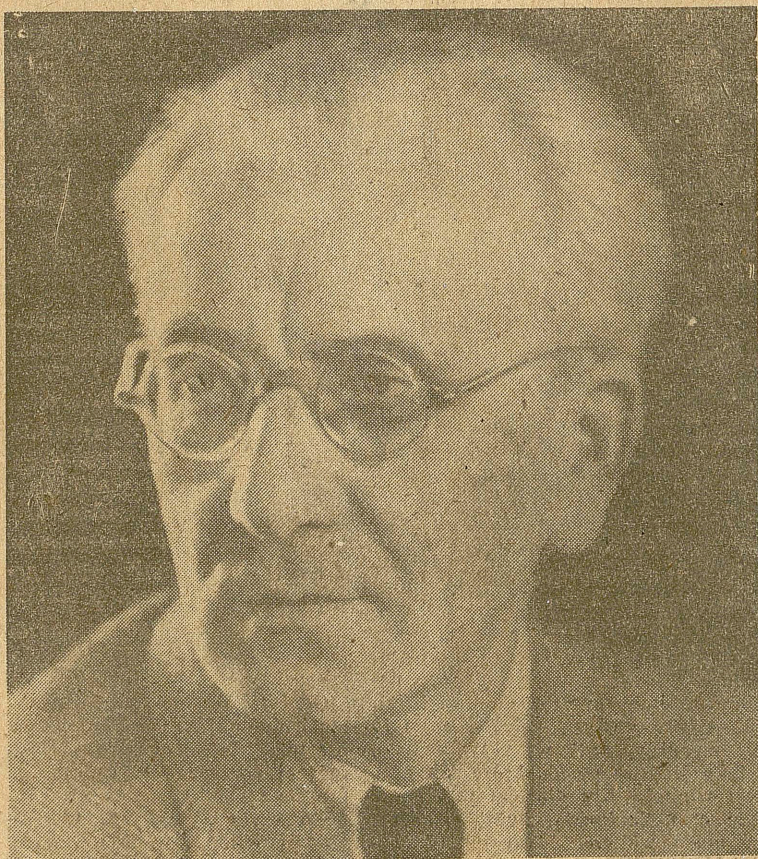
Kiedy wypadało odpowiedzieć na pytanie — jakież to elementy mają wejść w skład statecznej zamożności „pocziwego człowieka” wsi, pokazywało się, że większość tych składników to wytwory nauki i sztuki i produkcji całego świata cywilizowanego. Odpowiedź padała wówczas taka: ten świat wytwórczy obraca się poza nami weźmiemy z niego to co nie szkodzi „tych obyczajów, naszych tradycji, naszego życia” — jak się uformował i zakreślił przed nowożytnymi dziejami postępu ludzkiego.

Mówiąc słowami Wiktora, rysowano plan, którego realizacja — w jakimkolwiek procencie — byłaby „odrąbywaniem się od narodu” gotowaniem mu zguby a sobie nowej niewoli, bo przecież nie rolnictwo, nawet unaukowane, ale zdobycze kultury i cywilizacji osiągnięte w innych poza rolniczych dziedzinach, one dziś decydują o formach egzystencji ludów Europy i świata.

Stanowiąc 70 proc. ludności kraju, mamy prawo powiedzieć: *Naród to my!* Ale pod jednym warunkiem, że podejmujemy się *funkcji*, jakie są w *narodzie*, a nie tylko tych, jakie były *dotąd w ludzi*.

„Ludowa kultura rolnicza” przed tysiącami lat stanowiła niesłychany postęp wobec kultury myśliwskiej i pasterskiej. Ale ta sama kultura, wobec osiągnięć cywilizacyjnych ostatnich dwu stuleci jest hodowcą wstecznicztwa, bez żadnych szans oparcia się naporowi nowych systemów. Ongiś brak styczności pomiędzy grupami ludowymi i brak nowych wzorów upoważniał do ograniczania się do tych, jakie były w zasięgu izolowanych grup. Ale grupy ludowe ongiś stanowiące zamknięte i niezależne całości społeczne, dawno już historia wciążyła w narody, a narody w zależności od jeszcze większych układów społecznych, jak Europa, jak cały dziś świat.

Po „kulturze ludowej” zostały w życiu szczątki, a z nawoływania do jej odnowienia pozostały ślady w humorystycznych pismach — szczątkiem nie jest tylko *sam lud*. Przez dziewięć wieków nie pozwolono mu postąpić naprzód, *nie dopuszczono do tworzenia w nowych dziedzinach kultury i cywilizacji*. Dlatego dziś chceć Polski Ludowej, to znaczy chceć takiej Polski, w której chłop siadzie nie na paru fotelach ministerialnych i administracyjnych, ale znajdzie się *na całej sieci unerwienia kulturalnych i cywilizacyjnych narodu*! Taki to otwiera się awans i takie zadaniem narodowe dla warstwy chłopskiej! Z ufnością nowa Polska chce się oddać w ręce chłopów-inżynierów, uczonych, lekarzy, spółdzielców, techników i artystów. I czy nie tak powinna wyrazić się *ludowość* nowej Polski? Jest to program na dziesiątki lat, ale jedyny program, jaki może rozwiązać tragedię wsi i uczynić z Polski dość ważny czynnik w Europie, abyśmy z siebie czerpali gwarancję bezpieczeństwa.



JAN WIKTOR

W ostatnich tygodniach ukazała się jego książka p. t. „Ożywcze krynice”

Piętnujemy szlachtę za zmarowanie nas i ojczyzny. A oto nadchodzi czas naszego egzaminu. Jest moment, kiedy lud — jeszcze spod strzech słomianych — ma prowadzić nowoczesne państwo. Wielki egzamin!

OSTRZEŻENIA I WSKAZANIA.

Pierwsze zdanie nowej książki J. Wiktora brzmi:

„Napisać wolę, zrósć się z Polską”.

Ożywcze to zaiste krynice, tym bardziej ożywcze, że tak mówi pisarz starszego pokolenia, obok którego wielu mówilo i mówi na opak. I nie jest to frazes, jaki u innych gmatwa się w krzyżących sprzecznościach. Wiktor rozkłada przed czytelnikiem długi wykaz ostrzeżeń i wskazań, aby ustrzec przed niedocenieniem jedynie dziś twórczą i sensowną koncepcję „ludowości”.

Z ostrzeżeń: „Zaświecić próchno kontur szent czy sztandarem ludowym, położyć się na nim i w spokoju śnić o przeszłości”.

„Wielbiciel przeszłości to usypiacz w złym, to grabarz w gnoju, lub grabarz w gwiazdach. Skutek jednak: śmierć w kłamstwie”.

„W prostactwie upodobań, w parafian szczytnie myślowej, w nieuctwie”.

Ze stwierdzeń: „Obecna wojna... burzy i obraca w nicosć wszelkie uświęcone przeżytki społeczne i ustrojowe”.

„Ludzie na wsi wiele przemysleli. To już nie ta przedwojenna wieś. Młodzież rwie się do życia i do świata”.

Ze wskazań: Mówi Jan, chłopski działacz:

„Zwracam się do wybitnych uczonych... aby przygotowali już obecnie dzieła... aby stali się kierownikami młodego pokolenia i żywili je tym co najpożyteczniejsze i najpożywniejsze”.

„Zdynamizować Polaka. A do tego zapracować naukę, publicystykę, sztukę, literaturę”.

„Chcemy hać z maszynami, chcemy poezji twórczego czynu”.

ZEGNAJĄC LITERATURĘ

„WZRUSZEN”.

„Ożywcze krynice” J. Wiktora stanowią pamiętnik rozmów pisarza z działaczami. Narastał z dnia na dzień. Należało zaplanować i wyrazić wyodrębnionych zagadnień, a charakter rozmowy łamał również samą spójność i ścisłość wywodów.

Trudno zgadnąć, czy wszystko co mówi Jan, do Jana rzeczywiście należy, czy też autor na jego kredyt wpisał wiele własnych myśli, nie mówiąc już o językowej szacie. Wydaje się jednak więcej niż prawdopodobne, że Wiktor świadomie kreował w stylu wyśłowienia i zawartości myślowej z jej specyficzną strukturą pewien typ osobowości działacza ludowego. A że w rezultacie ta rozmowa ma charakter monologu, świadczy to o pokrewieństwie obu organizacji umysłowych. U Wiktora domyślać się można wierności tradycji młodo-polskiej krytyki impresjonistycznej (Brzozowski, Żeromski, Przybyszewski). Jest tu i z tamtej epoki kaszowiejsko, tak chętnie szukające rozwiązania problemów intelektualnych w poetyckich alegoriach, dlatego jak każde kaszowiejsko zmierzają raczej do wzruszenia palosom, niż ścisłego wyjaśnienia. Ta sztuka przybliżania i porównania ma też nie mało z Berentowskim błyskaniem „ożywionymi kamieniami przeszłości” i z Nowaczyńskiego zaciekawieniem wygrzebanymi amatorsko szczegóły historii.

A jakie to czynniki ukształtowały wiejskiego działacza tak, że Wiktor mógł w wymienionych konwencjach literackich znakomicie odtworzyć jego duchową sylwetkę?

Wiejski działacz terenowy zamknięty jest podobnie jak chłop-rolnik w kręgu bezpośrednich styczności z ludźmi, ci z kolei w prymitywnym systemie narzędzi i techniki pracy. Byłyby to już dostateczne powody aby nie dopuścić do rozwinięcia się u działacza myślenia abstrakcyjnego. A są i inne. Mała sfera doświadczeń społecznych, wyrażających się najczęściej w obcowaniu z konkretnymi przedmiotami i osobami oraz w naozycznym oglądaniu zachodzących między nimi związków. Wreszcie nie większy zasób doświadczeń innych ludzi nie bogacąc go, nie ułatwia mu przejścia do pojęć.

Śląd to typowe załamywanie się na progu każdego zagadnienia, które wymaga intelektualnej przenikliwości. Jan na przykład chce powiedzieć, że chłop nie powinien zatrzymywać się w swej twórczości w granicach tradycyjnej kultury ludowej, która spychała powodem rzeźbiarza do matry wiejskiego snycerza świątków, ale powinien wyrosnąć na artystę o znaczeniu europejskim.

Mówi wtedy tak: „Nie karły wysługane z martwego drzewa, poświęcane i balsamowane, ale twórcze olbrzymy powinny być dla niego wzorem”.

Jest to zdanie niewątpliwie poetyczne, działa na uczucie, zapala, ale na tyle nie

wyraźnie formuluje zadanie do spełnienia, że rozbudzony zapal, skazany jest na wyzerpanie się we wzruszeniu.

Jan chce wyliczyć rodzaje rosnących coraz to trudniejszych zadań jakie czekają młode pokolenie chłopów przy przejściu z kultury ludowej w narodową i nadrobią plastyką. „Do wielkości dochodzi się... w mazole, aż kości pękają, aż żyły się rwą”. W rezultacie nie dowiedzieliśmy się niczego albo gorzej bo powstała sugestia, że i Polskę wystarczy budować fizycznym wysiłkiem. A przecież Janowi szło o co innego.

Nie daje sobie rady, to widać. Tyle zagadnień! Przerastają go, mieszają mu się w jednej olbrzymiej niekończącej się rozmo-wie. Coraz to w innym garniturze porównań odnawia tę samą sprawę. Podlega asocjacji, rwie, przeskakuje, nie wyodrębnia, nie uściśla, nie zatapia ostatecznie, upaja się samym wzruszeniem.

Ten wiejski działacz bywa najczęściej samoukiem. Przypadek słyka go z książką... Förstera albo... z Dekameronem, albo umiłowanymi stają mu się naraz... Żeromski i Mniszkówna. Takie skape albo chaotyczne snopy światła zarysowują mu bardzo zniekształcony, niemal fantastyczny obraz kultury. Najczęściej urzeczony, rwie się do niej, ale jak?

Dyskusja o pisarstwie ludowym

Polemika J. Przybosa ze „Wsią”

Poeta Julian Przybós wystąpił na łamach „Odrodzenia” z krytyką naszego pisma, w artykule „W sprawie pisarstwa ludowego”, wysuwając szereg postulatów pod adresem literatów chłopskich. Odpowiedział mu Stanisław Piętał w Nr-ze 1-ym „Wsi”; w Nr-ze 3-cim dyskutowała z teząmi Przybosa Anna Kamińska. Były to głosy poetów, zapewne nie ostatnie w tej polemice, która rozpalila naszych pisarzy.

W międzyczasie otrzymaliśmy list-artykuł, który poniżej drukujemy. Na tym też miejscu odpowiadamy bezpośrednio na te tezy J. Przybosa, które mają dla nas praktyczne znaczenie.

Na innym miejscu w tym samym numerze znajdzie czytelnik artykuł krytyczny St. Lichańskiego, który formuluje stanowisko redakcji „Wsi” w sprawie pisarstwa ludowego.

PRZYBÓS DO NAS: O „WIEŚ” WSI.

Czy mam zapewnić, że zabierając głos w sprawie pisarstwa ludowego w „Odrodzeniu”, powodowałem się troskliwą życzliwością dla ludowego ruchu literackiego, wszczętego przez tygodnik „Wieś”? Widzę wyraźnie obszerne zadania i wielkie cele, ku jakim dążyć miała by „Wieś”, przewidując nowe nieograniczone horyzonty tego pisarstwa. Literacka ludowość — nie nawiązując do idyllicznego jej przeobrażenia sprzed stu pięćdziesięciu lat — może w nowej ludowej Polsce rozwinąć potężny prad. Prąd ten porwać winien całą literaturę polską najbliższego pokolenia. Nadeszła historyczna chwila, od której wieś, uwolniona od obszarńnika, wypowiedzieć się winna nie tak, jak dotychczas, jednym tylko Orkanem, lecz całą generacją Orkanów.

Ponieważ tak wierzę i tak sędzę, pragnę od tygodnika „Wieś” i oczekuję od Oddziału Wiejskiego ZZLP twórczej myśli krytycznej i szerokiego rozmachu organizacyjnego. Gdybym nie przykładał wielkiej miary do spraw pisarstwa ludowego, nie odezwałbym się wcale w polemice, która wyzerpała się na kłóliwych docinkach. Oczekiwałem dyskusji, spodziawałem się, że wypowiedzą się pisarze zgrupowani w Oddziale Wiejskim. Odezwał się Stanisław Piętał. Przykro mi, że on, którego wysoko cenię jako subtelny liryka, zamiast podjąć rzeczową i poważną dyskusję, zaczyna i kończy na wzmiankach i przypisywaniu mi intencji, nigdzie przeze mnie nie wyrażonych. Gdzie to „przekreślam” dorobek poetów mianujących się chłopskimi i od-mawiam im ogólnopolskiego znaczenia. Cenię autentystów: Ozoga i Frasiaka, których wdzięczne sielanki czytać można i w „Odrodzeniu”, podobnie jak doceniam oryginalną stylizację gwary i chłopskiego humoru w wierszach Kubisa, Nędzy-Kubińca, Olchy czy Baranowicza. Jestem tylko zdania, że poeci ci, znani jeszcze przed wojną, wszyscy z wyjątkiem może bardzo oryginalnego debiutanta Ozgi-Michalskiego, nie więcej mają wspólnego ze wsią, niż np. autor „Rzeczy czarno-leskiej”, Tuwim.

Należy gruntownie rozważyć cel istnienia Oddziału Wiejskiego ZZLP. Byłem tym, który o tę organizację niemalże walczył (bo w Związku jdei wyodrębnienia nie sprzyjało), a na Zjeździe mój skromny głos osłodził nieco zapalonych przeciwników i ogół kolegów nastroił zdecydowanie przychylnie. Oddział Wiejski powstał — lecz w jakim celu? Nie po to przecież, by wyodrębnić się przydomkiem, skupić się koło jednego pisma, które jak nawa wskazuje winno być pismem wsi. Przecież wszyscy ci ułanowani poeci drukują i drukować mogą we wszystkich innych pismach „wiejskich”. Powtarzam: niechże się we „Wsi” wypowie wieś, niechże „Wieś” stanie się pismem wsi, pisany i czytany przez tę wieś! Oddział Wiejski, pisarze w nim

Jan mówi: „Słyszę jak w bramy tej zwycięskiej Ojczyzny bije twardy łoskot kroków zbliżającego się chłopu i jego mocne wołanie IDZIEMY!”.

Na nazwanie tej obszernej kultury nasuwają mu się zwroty w rodzaju: „wielka idea”, „rozprężenie duszy”, „chwytamy w dłonie młoty i walimy w rzeczywistość, przekuwamy ją”.

Chciałby pisać „nowe orędzie odmienne od tamtych wczorajszych z kurnych chat”, „chciałabym aby moje słowa były ostroga, biczem, czy też zarzewiem”.

Jest to widok wzruszający i przejmujący zarazem. Na progu obszernej i trudniejszej kultury jej entuzjasta manifestuje swój wstrząs radosny.

Daje upust wzruszeniom. To co słyszymy jest wypowiedziane jeszcze w tamtym języku, bezradnym oczywiście w porównaniu z zadaniami jakie ma do spełnienia język na wyższych zawodowych funkcjach w służbie narodu. Takiego działacza możemy sobie wyobrazić przenosząc się myślą do Uniwersytetu Solarza, dokąd przybywał chłopak po paru oddziałach. Kiedy Solarza pytał przed laty Wiktor: „Jakie przedmioty?” — „Ach, w ścisłym tego słowa znaczeniu nie mamy przedmiotów... Historia, literatura, przyroda, nie szczegóło-

wo ale w wielkich zarysach... Nie chcemy dostarczać wiadomości, ale pragniemy zachęcać, wskazywać drogę, i dawać przeżycia... Słuchacz ma aktywnie się ustosunkować do pewnych przejawów, aby go bolały, oburzały, aby dokądś szedł duchowo”.

Wydaje nam się niewystarczające nawet na użytek wsi, i nawet w ramach „kultury ludowej” rozkołysanie wyobraźni tylko „zarysami” i dostarczanie wzruszeń, które prowadzą „dokądś”.

Ale też dopiero dziś po tej wojnie możemy w całej pełni zdać sobie sprawę z przełomowej sytuacji wsi. Wiktor prawie trzy czwarte książki poświęcił na wywołanie wstrząsu. Jest on bardzo potrzebny kiedy o lud ma przejść w naród. Niech wieś przeniknie dreszcz dziejowy. Ale tym bardziej uważamy dziś za konieczne z wstępnego wzruszenia posunąć wreszcie młodzię w czynne i odpowiedzialne role w na-rodzie. Dlatego metody przybliżania i poetycznego majaczenia na temat spraw, które trzeba jasno zrozumieć i zanalizować dokładnie w zgodzie z obiektywnymi sprawdzianami — muszą zastąpić metody, o donioślejszej skuteczności.

Niech książka J. Wiktora wzbudzi wśród młodzieży wiejskiej i tę decyzję!

JAN ALEKSANDER KRÓL.

zgrupowani, winien być tylko przewodnikiem chóru, podającym takt, korygującym śpiew i stawiającym głos mas chłopskich. „Wieś”, winna przyciągać piszących chłopów, odkrywać i wychowywać talenty, stać się uniwersyteciem ludowym pisarstwa. O ten żywy styk z ludem, o czułą uwagę i troskliwą opiekę nad piszącymi chłopami — wołałem w moim artykule. I z przyjemnością stwierdzam, że ostatnie numery „Wsi” zmierzają wyraźniej, choć nie bez rażących odchyśleń, ku takiemu pojmowaniu pisma literackiego wsi.

Może jednak niepotrzebnie zgłaszam się z najżywczej doradą tam, gdzie sobie tego nie życzy? W notatce „O sżuce stawiania na głowie” potraktowano mnie przecież jako perfidnego wroga, niemal wroga ludu. Może „Wieś” nie chce być wiejską, może jej ambicje są inne? Lecz jakie? Przecież nie chodzi o jeszcze jedno skupienie znanych pisarzy — tych samych pisarzy. Byłoby to robiecie literatury drugiej klasy. „Wieś” stałaby się workiem, w który by pakowano wszystko, czego nie przyjęły czy nie pomieściły inne pisma. A ja domagałem się pisma masowego, które by, nawet rezygnując na chwilę z literackości, organizowało od podstaw pisarstwo chłopskie, i tak wychowywało przyszłych Orkanów i Reymontów. Jeśli by z mojego artykułu w „Odrodzeniu” tę jedną życiową radę przyjął Oddział Wiejski ZZLP, wyświadczyłbym — wierzę w to mocno — przysługę wielkiej sprawie pisarstwa ludowego.

Julian Przybós

ODPOWIEDZ PRZYBOSIOWI

Wielce Szanowny Panie, Przede wszystkim pragniemy Pana zapewnić, że wydrukowana u nas odpowiedź na artykuł „W sprawie pisarstwa ludowego”, w żadnym wypadku nie mogła być spowodowana niechęcią do Pana osoby. Przeciwnie, tak się składa, że w redakcji naszej skupien są młodzi i starsi literaci, którzy są wypróbowanymi Pańskimi zwolennikami, i to nie od dzisiaj. — Jak kol. Lichański, autor artykułu „Plan jutra” w „Pio- nie”, jednej z nielicznych entuzjastycznych wypowiedzi krytycznych o „Równaniu serca”, jak kol. Król, uczestnik prac literackich grupy Ludwika Frydgo, jak kol. Piętał, który mieni się Pana przyjaciele, jak najmłodszy nasz współpracownik, kol. Pleśnarowicz i Kamińska, jak wreszcie koledy poeci chłopscy, chętnie powołujący się na Pana chłopskie pochodzenie. Tymbardziej przecież niespodziewane było, że zdecydował się Pan wziąć udział w kampanii przeciwko naszemu pismu.

Były w Pańskiej wypowiedzi zwroty, które mogły nas zdezorientować.

Pismo „Wieś” podzuka chłopu kukulcze ja-ja stylizowane na pisanki, nie spełnia przyrodzonej sobie roli, ma fałszywe ambicje, robi literaturę drugiej klasy, wypowiada się w niej nie wieś, a grupa pisarzy, — są to przecież zwroty dosłownie skopiowane z Pańskiego artykułu.

Nie więc dziwnego, że broniliśmy się przeciwko tym zarzutom, tymbardziej, że pismo „Odrodzenie”, na którego łamach zamieścił Pan swój artykuł, odnosiło się do nas stale w sposób nieżyczliwy.

Obecne stwierdzenie Pana, że żywi Pan dla „Wsi” sympatie, ucieszyło nas szczerze, niemniej załączony do listu artykuł wywołał w nas zaskoplenie.

Odczytaliśmy go parokrotnie, starając się o możliwie największy obiektywizm. Stwierdzamy tutaj, że każde nieomal jego zdanie stoi w rażącej sprzeczności z naszą ideologią, wielokrotnie formułowaną w artykułach: J. A. Króla „Kto czyta „Wieś”, S. Lichańskiego „Rzeczy wistocie chłopska a literatura”, J. A. Króla „O poezji chłopskiej” i jeszcze innych. Powtarzamy tu pokrótce:

1) Poezja „samorodna”, tworzona napół-nieświadomie przez artystę — umysłowego prymi-

tywa (Rudnicka, Stępczyk, pamiętnik Urbana) skazana jest na nieunikniony zanik i popieranie jej ma cechy wstecznej polityki kulturalnej. Na wsi jest ona czytana niechętnie. Konieczny jest właśnie okres poezji awansującej, w hierarchii kulturalnej przez pana zwanej „drugiego rzędu”. Ma może ona mniejszą wartość twórczą, ale jest wynikiem intelektualnego podnoszenia się chłopu. Ten konieczny okres przejściowy, obserwujemy zarówno we Francji po Rewolucji, co w ZSRR po przewrocie. Robota ta ma sens społeczny, obok literackiego; praktyka dowiodła, że innej drogi nie mamy.

2) Popieranie pisarzy takich jak Rudnicka jest praktycznie niewykonalne ponieważ ich niema. Wiersze które taki autor, zachwiany przez „sławę” literacką, dziś pisze, przez pretensjonalność swoją wykraczają poza poezję jakiej Pan pragnie. W praktyce nie zdołalibyśmy wydać jednego numeru na kwartał złożonego z poezji jakiej Pan żąda. Postulat ten nie jest rzetelny, ponieważ dla czytelnika nieobznajmionego z podażą literacką Pańskie sformułowanie wygląda tak, jakby właśnie dobra poezja samorodna w stylu Rudnickiej istniała, i przez „Wieś” była chowana pod kocem, na rzecz jakiejś grupki zmieszczających literatów. Poezji takiej niema, choć szukaliśmy jej specjalnie życzliwie; jest natomiast powódz grafomanii, Rudnicka „lubielska” była wyjątkiem, półświatkiem, półmiediumicznym, zresztą już zmieniła typ twórczości. Mied do nas pretensje że takiej twórczości nie posiadamy, jest równie niedorzeczne, co robić wyrzuty poetom współczesnym, że żaden „Dziadów” nie napisał. Nie potrafia. My też nie potrafimy, tylko w Pana oświecenia, wygląda to, jakbyśmy potrafili ale nie chcieli.

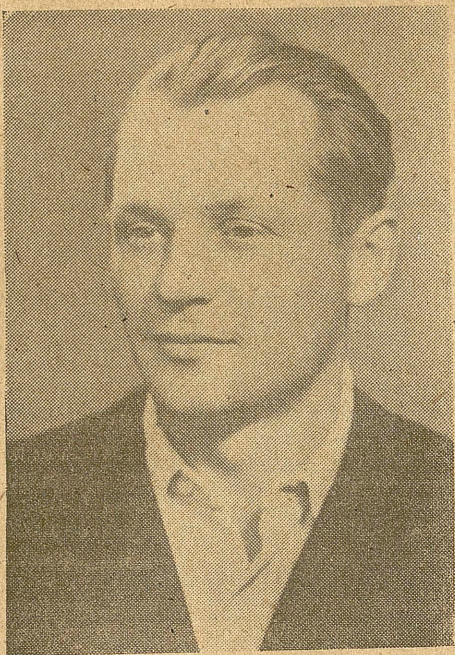
3) Stanowczo sprzeciwiamy się owemu z uporczywością powtarzanemu przez Pana zdaniu, by właśnie „Wieś” zajmowała się gromadzeniem pamiętników chłopskich, samorodnych utworów poetyckich itd. Chętnie się zgadzamy, by takie pismo, w rodzaju „Przeglądu Socjologicznego”, zostało przez kogoś założone i prowadzone; stwierdzamy że inne obraliśmy sobie cele i inny zakres działania. Jest dla nas nie do pojęcia Pańska interwencja, zmierzająca do całkowitej zmiany naszego planu wydawniczego. Jest to podobnie niewłaściwe, jak np. namawianie „Odrodzenia” by stało się pismem satyrycznym, którego brak w Polsce, albo żeby się przekształciło na nowoczesny tygodnik dla młodzieży, czy na pismo prawnicze. Nie mamy przeciwko temu, by Pan nawoływał do stworzenia takiego pisma, ale dlaczego nas Pan właśnie do takiej roli przeznacza, stwierdzając że w przeciwnym razie nie spełniamy swych zadań — jest dla nas niezrozumiałe. Jak wiadomo, pismo dla wsi jest niewiele, i bardzo pragnielibyśmy rozkwitu prasy ludowej tak obfitego, jak to jest z prasą ogólnopolską. Niemniej chcemy robić tylko tyle, ile chcemy i postanowiliśmy. Wydawaliśmy już i „Chłopów” i „Zielony Sztandar” i broszury polityczne, i wtemy jak jest rezultat takiego eklektyzmu.

Więcej — mamy prawo być pismem grupy — choć tego nie pragniemy, — tak samo, jak ma niem prawo być „Odrodzenie”. Mamy dość frazesów o wielkich zadaniach. Robimy tylko to na co nas stać — ale możliwie solidnie. Poezji takiej, jaką Pan uważa za „pierwszorzędną”, robić nie możemy, trzeciorzędnej — nie chcemy. Żadnej specjalnej poezji „wiejskiej” nie ma; jest, jak Pan pisze, poezja literatów pochodzenia chłopskiego, przeciwna, jak Pan twierdzi, „Wieś” ma prawo być ich organem i nieczym więcej.

W świetle tych wyjaśnień stwierdzamy, że pozytywnym rezultatem dotychczasowej dyskusji jest Pana ostatnio wyrażony życzyliwy do nas stosunek, jednak na tezy przez Pana wysunięte nadal zgodzić się nie możemy.

Za redakcję „Wsi” Z. KAŁUŻYŃSKI.

Poezja Edwarda Marca



Edward Marc, ur. 19 stycznia 1914 r. we wsi Jakubowice pow. miechowskiego, reprezentuje jako poeta stanowisko pokrewne autentyzmowi. Poezja jego ma zakres tematyki bardzo ograniczony: wiejski krajobraz, życie chłopskie, praca na roli — oto motywy raz po raz powracające w wierszach Marca. Motywy te nie są jednak wykorzystywane jako kanwa dla osobistych lirycznych wzruszeń poety. Liryzm Marca nacechowany jest powściągliwością, akcent w jego utworach pada na obraz, a nie na wywoływane tym obrazem i wokół niego osnuwające się wzruszenia. Ma-

larska wręcz plastyczność wizji poetyckiej — to główna zasada poetyki Marca, jaką wysnuć można z jego dotychczasowej praktyki pisarskiej. Wiersze to surowe i czasem nawet nieporadne, znaczą na nich poważne braki kultury literackiej.

Tym, co decyduje o ich znaczeniu, jest siła poetyckiej inspiracji, spontaniczność liryzmu, wywierającego silne wrażenie nawet mimo licznych nieraz usterek formalnych utworu.

Marc jest autentystą, ponieważ inaczej pisać nie potrafi. Jego próby „pogłębień”, dorabiania do poetyckiej wizji jakiegoś problematyki — zawodzi. Spontaniczny autentyzm tej liryki jest jej siłą, ale jest zarazem i niebezpieczeństwem: bez dokładniejszego sprecyzowania swojej ideologii poetyckiej Marc może pozostać na zawsze tylko lirycznym reportażystą. Rozwinięcie natomiast i pogłębienie tych możliwości, jakie poeta ujawnił w dotychczasowej swej twórczości, mogą mu zapewnić pozycję własną i odrębną wśród wychowanych przeważnie na awangardzie krakowskiej poetów jego pokolenia.

Jeżeli chodzi o literackie pokrewieństwa, to Marc przypomina czasem znakomitego poetę ukraińskiego Pawła Tytynę, z którym łączy go muzyczność formy i specyficzność wyobraźni poetyckiej, polegająca na umiejętności tworzenia sugestywnych i niezwykle obrazów z niewielkiego zasobu elementów niemal banalnych; wspólne są też obu tym poetom bardzo silne i bezpośrednie związki z autentyczną poezją ludową. Chodzi tu oczywiście o pokrewieństwo rodzaju poetyckiego, a nie o zestawienie ze sobą osiągnięć dwu tych pisarzy.

Próbuje również Marc twórczością satyryczną, której jedną próbkę zamieszczamy w dzisiejszej kolumnie.

St. L.

Obłoki

Nad pagórkami białawy
zwój kudłami kołysze,
wiatr mu nogi przypawi:
gruby wielbłąd skąd wyszedł.

Objuczony garbami
patrzy wielkim łbem z góry.
Słońcem kudły ukrwawil —
piaskiem ścielą się chmury.

Lecz wnet nogi w pustyni
zgubił, leniwie przysiadł.
Stado gości się przy nim
zbiera równo kołysząc

by za chwilę do grzywy
miarę białym dać koniom.
Pędzi zaprzęg płochniwy,
uźdźnice nie dzwonią.

Wdół las wyrósł na niebie,
w staw, jak mleko się rozlał,
sztuczne róże na niebie
czyli zorza zachodnia.

W stawie piły wielbłądy,
konie głowy schylając
płoszą gości od wody
i ze zmierzchem mieszają.

Nieład świata

Światło pór roku dziewczęta noszą na chustkach
i doją krowy, mleko pieni się w konewce.
Świergot ptasi, jak uśmiech przebiega po ustach,
ziemia pachnie, a strumień po korzeniach depcze.

Dziecinne oczy niebieskie, płowe i czarne
o kamyki, ogórki i kwiaty się troszczą.
Długo ziewa świtanie, południe jest skwarne.
Odwieczny zganian kur, skośnym deszczem chłuszcząc.

Zbiegają z pól zniwiarki, grabiarki i wozy,
pod siodłami się tuli pośpiech zadyszany.
Deszcz puchnie. Niebo niżej. Z chmur leją powrozy.
Pękły. Widno. Na strzesze gołąb rozgruchany.

I rządzi nami nie naszych wszechmoc rąk.
Dzień. Pomrok. Noc. Drzewina szumnie gwarzy.
Ostrzyżmy kosy, a nikt nie sadił łąk.
Światło pór roku dziewczęta noszą na twarzy.

Taniec

Muzykanci czterej lekko
dziobią cienko z kalafonii.
Rozigrali polkę krzepaką.
Basy burczą. W skrzypcach dzwoni.

Polamane już fujarki.
Pastuch krowom tytoń kraje.
Łeb się kudli bez czamarki.
I dziadkowi brakło bańki.

Kręć się dziewczko razem ze mną
ciasną polką, na przetaku!
Wiek się mieni, mnie niezmienną
w oszalałą polkę zakul.

Rozparzona mgła nad tańcem
Skóra zrosła się z koszulą.
(Nie chodź hulać z polamańcem!)
Cóż się w domu śni matulom?

Gdyby nocy przybyć mogło,
nim muzyce palce staną!
Odprowadź mnie do mnie pod dom
dopić polkę niedograną.

Łąki

Skóry wierzbowe, olchowe na ogień.
Badyle dymem dmą leniwie
w jesień i pustkę, w zadumane obie
gawroni wrzask, krzyk przybiegli.

Pozieblę dzieci, a krowy bezradnie
skubią i żują powietrze z chłodem.
...to dym, to głos daleki zadmie,
listki spadają w wodę.

Jesień

Uchodzą pola drogami do chałup.
Nie będzie mak nocem światel liczył
Dojrzały liście. Ścielą się pomalu
w kolor ceglany na kurzu pszenicznym.

Listek upada. Kształt w powietrzu chwieje,
bezzadnie. Rozpacz szuka równowagi.
Znużone słońce wosk w gałęzie sieje,
Głóg groch na kolce ukrwawiony nabli.

I człowiek, człowiek. Bruzdami przez rolę.
Wóz spada z góry. Brony ziemię drapia.
Psi skowyt ściga zającą niedolę,
krowy o wierzby trą skóry i sapia.

Z fraszek

Jarmark polityczny

Był w Lipkach chłop poczciwina,
o „polityce” wiedzący niewiele:
jednego stronnictwa się trzymał
i „Sztandar” czytał w niedzielę.

Poprostu pojmował uczciwość,
bez wygórowanych ambicji.
(Dziś w głowę się drapie siwą
bezpański ludowiec, niczyj).

Kto, kogo nie chce uznawać?
Kto, komu paździerz wydziera?
Kto z kim za chłopstwem obstawia
Kto, kim swe czoło wybiela?

Na dole wieś się gromadzi:
głosujmy! wybory! wybory!
Na górze komitet radził:
ugody, przetargi, reformy.

Ja z tobą. Wy ze mną. On tchórz.
Wy wsteczni. My dla wsi jedyni.
Nie prawda! I rwetes był duży.
Dygoce pokrywka
a kocioł
nie dymi.

LEON SOBOCIŃSKI

NA MAZURACH

Motto: *Własność ta niegdyś moja, będzie znowu moja.*
(Jan Kazimierz do delegacji Stanów Pruskich).

Dziesięć już lat mija, gdy po raz pierwszy stanął na ziemi Mazurskiej. Myślałem wtedy, że to będzie i po raz ostatni. Był to rok 1935, okres zawrotnych sukcesów polityki hitlerowskiej i zarazem okres polsko-niemieckiej politycznej kokieterii.

Kto z nas dziś żywych przypuszczał, że na tak małej przestrzeni czasu, tak wielka się o nas otrze historia. Któż w najzuchwalszych wizjach mógł wybiec naprzód na spotkanie tych dni, które ku nam przyszyły dziś.

Co pozostało z owego „Ostpreussen”, z owej krainy ponurego Smętku? Dziesięć lat, sekunda dziejów, a w życiu człowieka szmat czasu ogromny.

Rozmyślałem, jak to wypadnie porównanie umarłego wczoraj z przeżywanym dzisiaj. Czy zastanę tych samych ludzi, co przed dziesięć laty dzieje i sprawy tej ziemi opowiadali mi szeptem? A więc Seweryn Pień, niemy wydawca i redaktor gazety Olsztyńskiej, poeta mazurski Michał Kajka, ksiądz Barczewski, Samulowski i tylu innych pracowników na niwie społecznej. Jak by tu ich wskrzesić, żeby umiłowano Mazury, ujrzeli połączone z Polską? Nie żyją. A za życia nie wierzyli, że to się stanie za sekundę dziejów.

Pamiętam, gdy mi Pieniężny mówił ze smutkiem:

— Słuchajcie kolego, — z tej przyjaźni polsko-niemieckiej to nic dobrego nie wyjdzie. Toć wy tam w Warszawie żywcem nas grzebicie. Zobaczycie, że za lat 30, 50, gdy zemrze starsza generacja, wymrze tu i Polska.

Olsztyn w kilka zaledwie miesięcy po oswo-bodzeniu nazywany jest już Warszawą północy. Drugi to po Toruniu gród Kopernika. Nawet więcej, bo związany jest z jego naukową działalnością. Tu wielki nasz astronom przemysłował nad tajemnicami szlaków gwiazdnych. Nie wielu z nas wie o tym, że ten uczony w potrzebie chwycił szablę i bronił z garstką załogi swego zamku przed Krzyżakami.

W Olsztynie pełno po nim pamiątek, wspomnień, legend. Mówią a nawet pokazują miejsce pod Olsztynem gdzie Mikołaj Kopernik robił próby zakładania wodociągów. Biograf, zajmujący się Kopernikiem, nie może pominąć jego olsztyńskiego okresu życia.

A daleko od Olsztyna do Grunwaldu? Zajęczy skok. Byłem tu przed laty dziesięć. I jestem teraz. Niestety, już tego — który mnie oprowadzał po grunwaldzkich drogach i polach nie ma między nami. Umarł jeszcze przed wojną. Ten starzec znał tu każdy kamień, każde drzewo. I mimo swych lat 90 umiał na pamięć cały rozdział „Krzyżaków” z opisie bitwy. Chętnie się przede mną, że oprowadzał po tych polach samego Sienkiewicza.

A legenda o Grunwaldzie do dziś żyje na Mazurach. Spotyka się tu nazwy takie jak Jagiellonek, Jagiellówek, Jagiellęk.

Wprost trudno uwierzyć, że po tylu latach bismarkowsko-hitlerowskiego gwałtu, dochowało się tak wiele śladów polskości. Czytam na którymś cmentarzu:

„Tu odpoczywa w Bogu Eufrozyna Kołeda, ur. w roku 1822. zm. 18 grudnia 1884”. A dalej wiersz w swej prostocie wzruszający:

„Tyś mnie w żalu opuściła,
Bo ty mi wciąż miła była —
Gdy się my tam powitamy,
To znów sobie ręce damy”.

Te cmentarze warmijsko-mazurskie, to nie ziemia, która chowa prochy, co je lada wiatr rozwieje.

Przed 10 laty była tu jedna anemiczna spółdzielnia Polska, zaledwie tolerowana przez Niemców, na użytek dyplomatycznego pokazu.

Dzisiaj w Olsztynie, Elblągu, Braniewie istnieją spółdzielnie rybackie, oddział „Społem”, spółdzielnia „Mazur” z 6 sklepami, 4 sklepy spółdzielni rolniczo-handlowej, 3 spółdzielnie pracy, ogrodnicza, księgarska, jest teatr, kino, gimnazjum, Instytut Mazurski. Ogółem dotychczas naliczyć można 250 placówek przemysłowo-handlowych. Wszystko to powstało zaledwie w kilku miesiącach pionierskiej pracy.

A nie zapominajmy: wielkie tu są zniszczenia; ziemia wojną stratomana, gospodarstwa w 50 proc. zrujnowane w stosunku do stanu przedwojennego. A mimo to normalizacja życia gospodarczego postępuje naprzód.

Pierwsi pionierzy, którzy tu przyszli sadić polskość, wiele przeszkód mają już poza sobą, a te które istnieją również dadzą się przezwyciężyć. Osadnicy z którymi rozmawiam powiadają: —

— „Mamy naszego sołtysa, wójta, jest milicja, która często patroluje wioski. Jest szkoła, Związek Samopomocy Chłopskiej i pomalutku jakoś idzie”.

W tych nie wyszukanych słowach osadnika-pioniera mieści się zapal i radość tworzenia życia polskiego z niczego, na ziemi, która zdawała się dla Polski na zawsze przepadłą.

Albo w innej rozmowie:

— Tak, panie, ciężko bo ciężko, ale dół w życiu jest łatwe.

— A jakie braki odczuwacie?

— Inwentarza więcej, narzędzi rolniczych brak, ot — sprzęt rybacki by się przysiadł, bo tu jeziora w ryby zamożne. Całą Polskę można nimi obdzielić i na eksport jeszcze starczy.

W rzeczy samej Warmia i Mazury to kraj jezior pięknością malowniczo położenia dorównujący Szwajcarii Kaszubskiej. Prześliczne tu są zakątki. Jakie bogactwo tematów i natchnienia dla artysty. I sztuka polska ma tu pionierską misję do spełnienia.

Pojezierze Mazurskie tworzy wspaniały łańcuch 3 tys. najprzeróżniejszych jezior. Jezioro Świardwy o przestrzeni 10.538 ha należy do jednych z największych w Europie. Mazury to kraj przede wszystkim pastwisk i jezior. Około 20 proc. powierzchni zajmują łąki, 24 proc. powierzchni przypada na lasy.

Klimat, prawda, dość tu ostry, ale przez swą surowość zdrowy. W żadnej polaci kraju naszego nie napotkasz tylu stuletnich starców co po wioskach mazurskich. Widziałem blisko stuletnią kobietę, bez jednego swego włosa, jej rówieśnica sąsiadka nawlekła bez okularów nitkę. Rozmawiałem ze starcem, który na kolanach chustał prapraprapravnuka. Pięć pokoleń w jednej rodzinie.

Są tu wioski, w których i przed wojną wszyscy mówili po polsku. Wśród starszego pokolenia taka była słaba znajomość języka zaborcy, że w sądach często musiano przywoływać na pomoc tłumacza. Ale były i rodziny, gdzie germanizacja poczyniła tragiczne wyrwy. Dziadek, nie umiejąc po niemiecku, już się nie rozmawiał z wnukiem, który nie znał mowy swego dziada. Ale niech tu Polska okrzepnie a powiazania kulturalne i mowa odnowią polskość. Do tej mowy polskiej modli się poeta mazurski Michał Kajka tymi słowami:

„Póki będziem żyć.
Będziem cielebnie czcić —
„W naszej macierzystej mowie
Tak, jak nasi ojcowie”.

Z ludowej poezji rosyjskiej

Bylina o Suchmanie

(Tłumaczył Tadeusz Rokiński - Chróścielewski)

Profesorowi Julianowi Krzyżanowskiemu, memu Nauczycielowi i Opiekunowi w latach studiów potajemnych w Warszawie w hołdzie.

U łaskawego u kniazia u Włodzimierza
Było uczowanie ten godny fet
Dla rozlicznych kniaziów dla bojarów,
Dla wielmożnych ruskich bohaterów
I dla wszystkich drużynników udatych.
Na zachodzie słońeczko czerwone
A na fecie coraz to weselej:
Wszyscy oto są pijani — weseli,
Wszyscy oto chępli się zaczęli:
Głupi chępli się żoną urodną
A niemądry chępli się skarbnicą zasobną,
Mądry chępli się łeciwą macierzą,
Siłacz chępli się siłą swą wrażą
Siłą i krzepą bohaterską.
Za tym to za stołem za dębowym
Siedzi bohater Suchman Odychmantiewicz
I niczym się on — molojce — nie chępli.
Słońeczko Włodzimierz tronno-kijowski
Po komnacie stołowej spaceruje,
Kędziarami żółtymi potrząsując
I powiada owo słowa takie:

Ach, że ty Suchmany Odychmantiewicz,
A czemu to ty nie chęplisz się niczym?
I nie jesz, nie pijesz, nie pożywasz?
I białych łabędzi nie ruszasz?
I twa czara nie równa z innymi?
I twe miejsce nie należne godności?
I z pijanych naśmiewałeś się?...

Odpowiada Suchman Odychmantiewicz:

Włodzimierzu, kniazciu tronno-kijowski,
Sza mi czara po równu z innymi,
A i miejsce należne godności
I z pijanych nie naśmiewam się,
Lecz nie służna się chęplić molojcy.
O przywiozę ja ci łabędź białą,
Białą łabędź żywą dam ci w dionach,
Nie ranią łabędź i nie krwawą.

I na równe bystro wstaje nogi,
I wybiega z komnaty stołowej,
Do koniusznika zachodzi pobliskiej,
Swego konia dobrego osiodła
A podźwiga pałec bojową
I zabiera na pą i na drózkę
Kindżałsko-nożyko to ostre.
Siadł Suchmany na konia dobrego
I jedzie Suchmany ku sinemu morzu
Ku tym cichym, ku tym to zalewom.
Jak przyjechał na pierwszy cichy zalew,
Nie zobaczył łabędzi, ni gęsi.
Ani szarych kaczątek malutkich,
Więc przyjechał na drugi cichy zalew...
A u tego cichego zalewu
Nie pływają ani gęsi, ni łabędzie,
Ani szare kaczątka malutkie,
Więc przyjechał na trzeci cichy zalew...
A u tego cichego zalewu
Nie pływają ani gęsi, ni łabędzie,
Ani szare kaczątka malutkie...

I tu się Suchmany zaduma:

Jakże wracać mi do sławnego grodu do
Kijowa
Do łaskawego do kniazia do Włodzimierza?
Kiedy wrócę, już mi w żywych nie być
więcej,
Więc pojedę ku matence Nieprze rzece...
Przyjeżdża on ku matence Nieprze rzece
A matenka Niepra rzeka ciecie nie po star-
remu,
Nie po staremu ciecie i nie po przedniemu,
Lecz woda z piaskiem się mąci...

...Rozpowiada tedy matierz Niepra rzeka:
Jakże mogę ja cieć po staremu
I jak mogę ja cieć po przedniemu,
Kiedy za mną poza Nieprem poza rzeką
stoi siła tatarska niewierna,
Stoi pogan czterdzieści tysięcy.
Moszczą oni mosty kalinowe,
Moszczą dnem, ale nocą ja burzę,
Lecz już słabnie matierz Niepra rzeka.

Zaduma się Suchmany Odychmantiewicz:

O nie chwala-cześć mi molojeczka
Nie odeprzeć tej siły tatarskiej.
Więc wypuszcza on konia dobrego
Poprzez matierz poprzez Nieprę rzekę
A koń dobry ją owo przeskoczy...
I podjeżdża Suchmany do swego dębu
Do swego dębu do żylatego,
Prosto dąb z korzeniami wyrwywa,
Za czub bierze a z korzenia sok spływa.
I pojechał Suchmany z dębinką
I naprawił swego konia dobrego
Na tę oto siłę tę tatarską
I zaczyna swą dębinką potrząsać
I zaczyna on Tatarów potrzącać:
A co machnie — Suchmantuszką — ulica,
Co odmachnie — Suchmantuszką —
plac pusty,
A co naprzód postąpi zaulek.

Tak Tatarów wszystkich zabił pohańców
Lecz trzech jeszcze uciekało pohańców
Ku matence Nieprze rzece szerokiej,
Za krzakiem za rokitą się skryło...

Wypuścili trzy strzałeczki tam ostre
Pod te boki młodzieniaszka bielutkie.
Wtedy Suchmany Odychmantiewicz
Te strzałeczki trzy ostre wyjmując
Krwawe rany listeczkami makowymi za-
słania

I ukrytych trzech Tatarów pohańców
Wnet dobija kindżałiskiem-nożykiem...

Teraz wraca zwycięski bohater do Kijo-
wa; nie znajduje jednak wiary u Włodzi-
mierza, który w tej bylinie nie jest, jak w
innych, bierny i niedołężny, lecz podobnie
jak w bylinie o uwieszeniu Ilii Muromca —
posiada cechy, które tradycja ludowa zapa-
miętała u Iwana Groźnego.

A Słońeczko kniaz Włodzimierz łaskawy
Nakazuje swoim sługom uczciwym
Wziąć Suchmana za bielutkie dłonie
I zatoczyć do lochu ciemnego
I wślad posłał Dobryniuszka-Nikiticza

E. AXER

W styczniu wrócił do kraju Leon Schiller, wywieziony do obozu jeńców po upadku powstania warszawskiego. Sławny polski reżyser zorganizował na terenie okupacji anglosaskiej teatr objazdowy, obsługujący środowiska polskie w zachodniej strefie okupacyjnej, — „Teatr ludowy im. Wojciecha Bogusławskiego”. Niedarmo patronem teatru wybrał Schiller oca sceny polskiej, założyciela i odnowiciela naszego teatru, — Bogusławskiego, który wszak przedstawił „Krakowiaków i górali” w tym czasie organizował, gdy lud ostrzył kosy do rozprawy pod Racławicami! I teraz, gdy lud zbierać pragnie owoce ostatecznego zwycięstwa, teatr Schillera, choć na obca ziemię rzucony, zapragnął mu służyć; tak powstało widowisko „Gody weselne”, złożone z zainscenizowanych tradycyjnych obrzędów, pieśni, scen misteryjnych ludowych, pokazywane żołnierzom, jeńcom, wygnańcom na niemieckiej ziemi, i myśli ich z odczyną wiążące. Zamieścimy w jednym z najbliższych numerów reportaż Józefa Wyszewskiego, aktora i reżysera, towarzysza pracy Schillera na odczyni. Dziś szersze otwierają się przed teatrem możliwości, dziś Schiller realizuje może dawne swoje marzenie, — o eksperymentalnym teatrze ludowym, torującym nowe drogi współczesnej scenie polskiej, i zarazem służącym masowemu, ludowemu widzowi. — plan, którego przed wojną artysta nie był w możliwości wykonania, prześladowany za swoje radykalne społeczne poglądy. W Łodzi, w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, wygłosi Schiller przemówienie do profesorów, uczniów, i dawniejszych swych uczniów; oto wrzenia, spisane przez jednego z nich.

Nie brak w Polsce i dzisiaj znakomitych aktorów. Mamy kilku wybitnych reżyserów, dwóch czy trzech dramaturgów, świetnych dekoratorów, pedagogów teatralnych, bystrych organizatorów. Na czym, że to jednak polega, że słuchając działań po sześciu latach po raz pierwszy, jak mówi o teatrze Leon Schiller, znajdujemy tak wielką różnicę w tym, co i jak mówi on, a co mówią inni?

KIM JEST LEON SCHILLER?

Schiller nie jest tylko tym człowiekiem, z którego wyobraźni zrodziły się setki postaci scenicznych, nie jest tylko twórcą wielkich przedstawień, wykonawcą testamentu scenicznego Mickiewicza i Wyspiańskiego. Schiller nie jest tylko muzykiem, artystą o niezawodnym smaku plastycznym, znawcą pieśni pierwszy w Polsce teatrologiem, społecznikiem, organizatorem teatrów, wychowawcą i wodzem reżyserów, dramaturgiem, teoretykiem socjalizmu w sztuce i szermierzem socja-

STEFANIA RUDNICKA

Do ciebie matko ziemio!

Do ciebie, matko z wszystkich stron
podnoszą wszyscy ręce.
Kraj jest jak kościół —
dom jak dzwon,
a myśmy jego serce.

Grają organy naszych płuc
tym jednym słowem matko!
Będzie się w nas jak echo tłuc
do samych dni ostatka.

Gdy cię przysypie piasek lat,
wspominać będę skrycie
o matce milej ponad świat
i miłszej ponad życie.

Lublin, 20. 9. 1945 r.

Za tę macierz za tę Nieprę rzekę,
Niech oceni on zasługi Suchmantowe.

I zobaczył Dobryniuszka-Nikiticza
Srogą siłę tatarską pobitą
I zobaczył ci on więzek-dębinkę
U tej rzeki rozzszczypaną w drzazeczki,
Do Kijowa do sławnego przywozi
Gdzie włodarzy kniaz Włodzimierz Słoń-
eczko.

I wypowie słowa takowe:
Prawie chęplisz się Suchman Odychman-
tiewicz,

Za matenką poza Nieprą rzeką,
Cma Tatarów zaległa pobita,
Tam pohańców czterdzieści tysięcy.
Przytachalem ja dębinkę Suchmana,
Na drzazeczki ci dębinka rozdarła.

Zaciężyła dębinka pudów sto.
A Włodzimierz rzeknie tronno-kijowski:

Ach że sługi wy moje uczciwe,
Chyżo iść mi do lochu ciemnego
I wytaszczyć Suchmana molojca
I wieść ku mnie go na jasny dzień
Będę ja go obdarzać — miłować
Za tę jego usługę poważną
I grodami go obdarzę z przygroziami

I siolami go obdarzę z przysiołkami!
I niezmierny skarbiec złota dam za to.

Więc podchodzą jego sługi uczciwe
I od siebie prawią takie słowa:

Ach ty jeden, Suchman Odychmantie-
wicz,

Wychodź chyżo no z lochu ciemnego.
Zechciał ciebie Słońeczko obdarzyć,
Zechciał dzisiaj on ciebie miłować
Za tę twoją usługę poważną.

Wyszedł Suchman, heł, z lochu ciemnego,
Hej daleko, daleko w gołe pole
I takowe oto szepcze słowa:

Ach, nie umiał mnie Słońeczko miłować,
Więc nie będzie mnie Słońeczko obda-
rzać,

Nie zobaczy mnie już nigdy w jasny
dzień.

Poodrywał listeczki makowe
Od tych ran swych czerwonych, krwawi-
cych

I tak sobie Suchmany przygwarzał:

Płyńże Suchman rzeko
Od tej mojej od krwi od gorącej
Od gorącej, napróżno przelanej.

Czego oczekujemy od Leona Schillera?

lizmu w życiu. Schiller jest tym wszystkim razem. Jest w najistotniejszym tego słowa znaczeniu Artysta teatru.

Dlatego ze szczególnym skupieniem słuchaliśmy jego przemówień wygłoszonych po przyjeździe do Łodzi w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej i w Teatrze Wojska. Stykając się z Schillerem twarz w twarz przed wojną, obserwując z bliska jego pełną triumfów, ale i klęsk, karierę, łatwo mogliśmy przeoczyć to, co dzisiaj z perspektywy długich sześciu lat dostrzegamy, jako wartość największą — wyczuć najistotniejsze zagadnienia teatru i powiązania ich z podstawowymi sprawami życia. To sprawia, że teatr uzyskuje najwyższą rangę społeczną, a w naszej chwili staje się kapitalnym instrumentem odbudowy kulturalnej.

KRZYŻY NA SCENACH POLSKICH

Dlatego oczekujemy od Schillera kierownictwa przy spełnieniu zadań iscie Hurkulesowych, do wykonania których posiada on konieczny autorytet, przygotowanie i rozmach. Jakże są te zadania?

Ich analiza przekracza ramy artykułu. Ale nawet pobieżny przegląd wystarczy, aby uświadomić sobie ogrom koniecznych reform. Przeżywamy największy od lat kryzys i upadek poziomu artystycznego teatrów polskich. Nieliczne tylko przedstawienia są na poziomie przeciętnych spektakli przedwojennych. Spadły do minimum wymagania stawiane pracownikom teatru. Z trudem osiągnięte zdobycze poszły w zapomnienie, poza jednym czy dwoma teatrami. Za mało jest dobrych aktorów, mamy za to zalew amatorszczyzny. Bardzo mało reżyserów. Nie ma prawie ludzi, którzy mogliby uprawiać publicystykę teatralną. Szeroka publiczność, głodna sztuki rzemie nie otrzymują jej, tak samo jak przed wojną. Ci, którzy chodzą do teatru placac nader wysokie ceny, prawie w tym samym stopniu nie orientują się w teatrze co ludzie piszący recenzje w dziennikach.

Wiemy, że przyczyny katastrofy w obrębie naszego zawodu są związane z wielką katastrofą światową. Ale można i trzeba naprawiać. Leon Schiller jeszcze w czasie wojny, w konspiracyjnej działalności z najbliższymi współpracownikami, a była to elita teatru, naszkicował plany organizacyjne i artystyczne, które miały stworzyć rzeczywistość teatralną lepszą od przedwojennej.

A przecież przewidywana sytuacja społeczna nie była tak sprzyjająca, jak sprzyjająca okazała się rzeczywistość. Łatwe kontakty ze związkami zawodowymi, możliwość zorganizowania widowisk i wciągnięcia milionów nowych widzów ludowych w orbitę teatru, wy-

eliminowanie prywatnego przedsiębiorstwa i dyrektora przedsiębiorcy, ważne zadania teatru w programie zwycięskiej demokracji — wszystko to sprawia, że w chwili największego upadku — dane są też największe od lat możliwości.

NOWE ZADANIA

Żeby te możliwości mogły być zrealizowane, musi w pierwszym rzędzie powstać szkolnictwo fachowe na odpowiednim poziomie.

Schiller postawił przed wojną wydział reżyserski P.I.S.T. na poziomie europejskim. Umiął przyciągnąć naukowców, umiał zatrudnić w nim najwybitniejszych reżyserów. Spodziewamy się, że potrafił teraz postawić wydział reżyserski jeszcze wyżej, bez przedwojennego kalektwa, którym w braku odpowiedniego teatru studyjnego było niedostatecznie wykształcenie praktyczne absolwentów. Spodziewamy się, że powstanie wydział dramaturgiczny, który będzie szkolił kierowników literackich — specjalistów, obznajomionych z jachem recenzentów, i który da cenna pomoc uzdolnionym pisarzom scenicznym.

Liczmy na to, że pod przewodnictwem Schillera zacznie działać naczelna rada artystyczna, instytucja nadrzędna, kierująca całokształtem życia teatralnego w Polsce. Ta rada będzie dbała o rozsądne rozpoznanie artystów po teatrach polskich, tak aby jeden teatr nie był składem wszystkiego, co jeszcze jest do użycia, a inni posługiwali się prawie wyłącznie amatorami. Słyszeliśmy z ust Schillera życzenie, aby w mieście kilku złych teatrów powstał jeden dobry teatr objazdowy. Trudno wyliczyć zadania naczelnej rady artystycznej i szerokie kompetencje, które powinny stać się jej udziałem.

Schiller stwierdził, że za swoje najważniejsze zadanie uważa stworzenie wielkiego teatru ludowego w Warszawie. Teatru dla mas, powszechnego, z repertuarem o problematyce ważnej, społecznej i na wysokim poziomie artystycznym.

Jednym z problemów zasadniczych w Polsce jest sprawa teatru operowego. I tu znów nikt inny jak uniwersalny artysta Schiller jest powołany do jej rozstrzygnięcia i uporządkowania. Stwierdził on zaraz po przyjeździe, że powstają jak gryzby po deszczu teatry operowe, jeden gorszy od drugiego. A tymczasem Polskę stać w najlepszym razie na jedną operę. Dla upowszechnienia jej trzeba wziąć pod uwagę system obiadów i festiwalów. I równocześnie budować od podstaw rzetelne szkolnictwo operowe, bez którego nie ma opery i być nie może. Oto nowe pole działalności dla Schillera.

Przed wojną istniało wydawnictwo pod nazwą „Scena Polska”. Zakres zainteresowań i wysoki stan wiedzy naukowców i artystów, zgrupowanych wokół Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, poprzez łamy „Sceny Polskiej” rozszerzał się na cały kraj. Chcielibyśmy wspomnieć o tym piśmie, zasłyszana onegdaj — uważać za obietnicę wskrzeszenia.

Zadania, które stały przed wielkiego formatu człowiekiem teatru w dobie dzisiejszej, są, wobec spustoszeń wojennych w naszej kulturze, zadaniami w pierwszym rzędzie natury społeczno-organizacyjnej, ale my oczekujemy od Leona Schillera więcej. Oczekujemy wielkich, odpowiadających przemianom dnia dzisiejszego, osiągnięć artystycznych. Nie było ich i nie mogło być w dobie T. K. K. T.

Sa, wreszcie młodzi reżyserzy. Nie zapomnieli, że było im danem brać udział w pracach Leona Schillera nad kierunkiem w sztuce, który by odpowiadał duchowi idących czasów. Chciał nadal widzieć w nim odkrywcy i przewodnika i, jeżeli pozwoła losy, stać się samymi odkrywcami na drodze, którą wskazał. Była to zawsze droga, prowadząca napróżno.

STEFAN LICHANŃSKI

„WIEŚ” i WIEŚ

PUNKT WYJŚCIA

Artykuł Juliana Przybosa „O „Wieś” wsi” przynosi streszczenie głównych tez obszernej pracy p.t. „W sprawie pisarstwa ludowego”, drukowanej w 55 nr. „Odrodzenia”. Tezy te dadzą się w krótkości sformułować następująco:

a) literatury ludowej dotychczas nie było; zdarzały się najwyżej poszczególne wybitne indywidualności (Przybós wymienia tylko nazwiska Orkana i Reymonta);

b) stworzenie tej literatury jest obowiązkiem „Wsi” z Oddziału Wiejskiego ZZLP;

c) literatura ta wyłoni się z samorodnej twórczości mas chłopskich, którą „Wieś” i Oddział Wiejski mają inspirować i czuwać nad jej rozwojem;

d) to, co drukuje „Wieś” obecnie, jest może niezupełnie złe, ale na miano literatury ludowej nie zasługuje (z wyjątkiem utworów Rudnickiej, Stopczyka i — z pewnymi zastrzeżeniami — Ozgi-Michalskiego), gdyż... mogłoby być drukowane i w innych pismach.

Oto są podstawowe założenia i... podstawowe nieporozumienia obu artykułów Przybosa.

Sprawa jest zbyt poważna, by można ją zbyć felietonową polemiką. Dlatego też postaramy się raz jeszcze sformułować nasze stanowisko wobec zagadnienia literatury ludowej oraz nasz pogląd na rolę i zadania „Wsi”. Być może, że w ten sposób uda nam się rozwiać wątpliwości znakomitego poety i znaleźć z nim wspólny język.

ORKAN I KURASIE

Niekroć Przybós chce dać przykład poezji zlej, wymienia Ferdynanda Kurasia. I tak np. w artykule „W sprawie pisarstwa ludowego” pisze:

„Jak to się dzieje, że jako poezję przeżywały zarówno utwór Słowackiego jak i Staniń Rudnickiej, a odrzucamy w naszym odczuciu Ferdynanda Kurasia i Staniśława Przybyszewskiego?”

Trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się dzieje, zwłaszcza, że nie wiadomo dokładnie, czy przypadkiem Przybós nie uogólnia zbyt pochopnie swoich indywidualnych odczuć i czy ów argument z „odczuwaniem” jako kryterium wartości literackiej nie mógłby być przez przeciwników awangardy wykorzystany właśnie przeciw Przybosiowi. Ale nie krytycznymi metodami Przybosa chcemy się zajmować w tej chwili. Chodzi nam w danym wypadku o sprawę Kurasia i wszelkich w ogóle Kurasiów i Janków z Bugaja.

„Wieś... wypowiedzieć się winna nie tak, jak dotychczas, jednym tylko Orkanem...”. Czy istotnie wieś wypowiedziała się Orkanem? Czy „Drzewiej”, „Z martwej rozłoki”, „Pomór” lub mocno libse-nowskie historie o Franku Rakoczym są naprawdę manifestacją pisarstwa ludowego, sformułowaną w kształt artystyczny wypowiedzią zbiorowej świadomości mas chłopskich? Czy Orkan swojego stanowiska w literaturze okresu Młodej Polski nie musiał okupić aklimatyzacją w środowisku, którego zarówno styl wypowiedzi artystycznej jak i problematyka nie wspólnego ze wsią nie miały, i czy jego na najbardziej nawet autentycznym materiale tematycznym oparte powieści jak „Komornicy” lub „W Rozłokach” nie noszą na sobie wyraźnych śladów ulegania modnym w owym okresie wpływom literackim? Nie, nie u Orkana znajdziemy najbliższą prawdę społecznej i historycznej wypowiedzi mas chłopskich owego czasu, ale właśnie u pisarzy i publicystów chłopskich typu Kurasia, Magrysia, Słomki, choć i na nich zaciążyła niejednokrotnie „pańska” maniera literacka.

Estetyczna „drugorzędność” utworu literackiego nie przesądza o jego społecznej i kulturalnej doniosłości. Oto stwierdzenie, które każdemu nam oceniać współczesnych Kurasiów przy pomocy innych kryteriów, niż kryteria estetycznej doskonałości, które Przybós uważa za jedynie obowiązujące.

MY WSZYSCY Z NICH

Kiedy czyta się oba artykuły Przybosa, ma się stałe wrażenie, że dotychczas istniała tylko ludowa poezja na poziomie zupełnie prymitywnym lub rzadka przechodząca do głosu proza dokumentarna, na tej zaś pustyni pojawili się niewiadomo skąd Orkan i Reymont (Kasprowicza Przybós pomija, gdyż już swego czasu osadził go podobnie jak ostatnio Kurasia). Literatury ludowej dotychczas — zdaniem Przybosa — w ogóle nie było i ma ją dopiero

zainicjować „Wieś” i Oddział Wiejski ZZLP.

Szkoda, że Przybós nie uwzględnił w swych rozważaniach książki Konińskiego, której znajomość obowiązuje każdego piszącego o zagadnieniach literatury ludowej, lub choćby artykułu J. Al. Króla: „One wiele dobrego zdziały” w Nrze 2 (30) „Wsi”.

Orkan nie zjawiał się ni stąd ni zowąd. Gdyby nie całe pokolenie Raków, Magrysiów, Kurasiów, Szarków, którzy stali się wyrazicielami pierwszej fazy chłopskiej emancypacji kulturalnej, awansu pisarskiego Orkana byłby wynikiem dziwnego przypadku i nie miałby żadnego znaczenia społecznego, tak jak nie miały go przypadkowe nobilitacje różnych Wielochów za czasów Polski przedrozbiorowej.

Na rolę owego pisarstwa chłopskiego ze schyłku XIX wieku, oprócz nas zwrócił ostatnio uwagę zasłużony znawca i miłośnik literatury ludowej prof. Pigoń w gwiazdkowym numerze „Tygodnika Warszawskiego”. Tak, Orkan nie był zjawiskiem przypadkowym i jednostkowym, był pierwszym — ale z bardzo licznej, twórczej i ambicznej grupy owych to właśnie Kurasiów, dla których Przybós ma dzisiaj tylko wzgardliwie wzruszenie ramion.

Przybós nie widzi literatury jako społecznej funkcji życia konkretnej zbiorowości ludzkiej i dlatego pomija fakt, że w podźwignięciu kulturalnym wsi zasługują Szarków, Raków, Magrysiów, są chyba nie mniejsze niż zasługi Orkana. Literatura ludowa nie zaczęła się od wierszy Rudnickiej i pamiętnika Urbana. Początki jej sięgają daleko w drugą połowę XIX wieku. Kiedy masy żyły tak samo jak za króla Cwiczka, drobna grupa chłopskich inteligentów-samouków zainicjowała ów ruch kulturalnej emancypacji, który przygotował teren i dla Przybosa i dla nas.

Różnica między Przybosiem a nami polega na tym, że dla niego Kurasi — to po prostu lichy poeta, dla nas: to fakt społeczny i kulturalny o poważnej doniosłości. Przed Kurasiem chłop znał tylko swoje regionalne śpiewki. Kurasi i Janki z Bugaja przygotowali czytelnika wiejskiego do rozumienia Konopnickiej i Asnyka. Przed pojawieniem się Kurasiów istniała kultura „pańska” i chłopski prymityw kulturalny — oni stworzyli dystans już wymierny. Nie niebo i ziemia — ale określona ilość szczebli pośrednich do przebycia: oto jak zmienił się stosunek kultury „pańskiej” do ludowej dzięki Kurasiom.

OD PAMIĘTNIKÓW SZARKA DO TYGODNIKA „WIEŚ”

Myliliby się, kto by sądził, że tylko o obronę Kurasiów szło w poprzednich ustępach tego artykułu. To, co mówiło się na temat literatury starochołpskiej, było pośrednią krytyką ahistorycznego i panestetycznego stanowiska Przybosa wobec literatury ludowej. Literatura ludowa bywa „drugorzędna” nie dlatego, że — jak twierdzi w nr. 3 „Odrodzenia” Kazimierz Wyka — Nędra Kubiniec czy Kubisz, to poeci mniejszej miary niż Tuwim, czy Broniewski, ale dlatego, że jest ona manifestacją pisarską klasy kulturalnie co najmniej o dwa pokolenia w porównaniu z inteligencją zapóźnioną. „Pod Staffa” pisujący

JAN WIKTOR

Jakiej powieści chce młodzież?

W roku 1939 zbierał Jan Wiktor pośród młodzieży z Kół Wiejskich i Uniwersytetów Ludowych opinie o książce — powieści, jakiej by najbardziej młode pokolenie oczekiwało. Odnosne spostrzeżenie pomieścił wówczas w książce „Chleb ziemi czarnej”.

Cytujemy z niej zarys projektowanej przez młodzież powieści:

„Niekiedy z młodych podawali ogólne zarysy jaka powinna być ta książka. Chcą widzieć bohatera zrodzonego na wsi, leżącej zdaleka od miasta, pogrążonej w ciemności, żyjącej w ciężkich warunkach, a bojącej się krokiem naprzód ruszyć. Ten syn ciemnej wsi, pod wpływem przypadkiem znalezionej książki, budzi się, narasta w nim świadomość, że nie wystarcza tylko nad sobą pracować, musi dzielić się z gromadą, aby razem zdobywać lepsze jutro. Zaczyna usiłować młodzić, zakłada Koła oświatowe. W tej książce należy pokazać krzywdy doznane, warunki, w jakich wieś żyje, nie na to, aby płakać, ale aby

Majtozak, czy dziwaczacy niejednokrotnie na manierę ekspresjonistów z dawnego pokolenia „Zdroju”. Pokora musiała, aby osiągnąć obecny szczebel rozwoju, wykonać pracę, która stworzyła między nimi a ich wiejskim środowiskiem, żyjącym częstokroć nadal prawniczą tradycją „bogo-bojnego kmiotka”, przedział daleko większy niż ten, który Tuwima czy Broniewskiego dzieli od przeciętnego adwokata lub dentystry.

W Przybosiu ściera się na najlepszych wzorach europejskich kształcony poeta, wybredny smakosz literacki z synem polskiej wsi, pragnącym jej jak najświetniejszego rozwoju. I zdaje się, że o ile Przybós-poeta przysługuje się kulturze i literaturze ludowej jak najlepiej, dając jej wzór dążenia do najwyższej osiągalnej dla danej indywidualności doskonałości poetyckiego wyrazu, wzór najwyższej ambicji twórczej i najsurowszej dyscypliny artystycznej, to Przybós-teoretyk zbyt mało wykazuje zrozumienia dla historycznej sytuacji klasy chłopskiej i dla jej realnych możliwości kulturowych.

Nie uwzględniający należycie dotychczasowego dorobku literatury chłopskiej, który w znacznym stopniu określa jej sytuację obecną i nie może pozostać bez wpływu na jej tendencje rozwojowe, Przybós popełnia jeszcze jeden dość ważny błąd: Traktuje on mianowicie środowisko wiejskie jako całość jednolitą, z pośród której można wyłowić pewną ilość Stopczyków czy Urbanów. Znowu muszę powołać się na nasze pismo, a mianowicie na artykuł J. A. Króla „Kto czyta „Wieś””, drukowany w nr. 15 (22). Artykuł ten stwierdza, że „Wieś” nie jest pismem mas, ale pismem inteligencji pochodzenia ludowego, mającym na celu stworzyć ideologiczny ośrodek krystalizacyjny dla tej właśnie grupy społecznej.

Nie będę tu przytaczał argumentów Króla (zyciwy czytelnik zechce sam powrócić do owego artykułu), spróbuję natomiast sprawę postawić nieco inaczej.

Pokolenie Kurasia wydało trzech tylko pisarzy, którzy zdolni byli zająć trwałe miejsce w naszej literaturze narodowej: Reymonta, Orkana i Kasprowicza. Ale w owych czasach inteligencja chłopska była warstwą bardzo cienką i jeszcze mocno świeżą. Dwudziestolecie międzywojenne przyniosło tu zmiany decydujące. Mimo ciężkich warunków materialnych, wieś zdołała przepchnąć przez szkołę średnią i wyższą uczelnie już nie jednostki — a wcale pokazywalne liczebnie grupy swej młodzieży. Równocześnie poprawiły się warunki pracy oświatowej na samej wsi. Warstwa dolna inteligencji chłopskiej, (ta na poziomie Kurasia, Magrysia czy Słomki) rozrosła się niepomiernie, a nad nią narastała już warstwa nowa — inteligencji posiadającej wykształcenie średnie, fachowe lub ogólne, a nawet wykształcenie wyższe. Zróżnicowała się wieś a równocześnie zróżnicowało się pisarstwo ludowe.

Pokolenie Szarka i Raka mogło utwory swoje zamieszczać najwyżej w „pańskich” pismach „dla ludu”. Pokolenie Słomki i Kurasia mogło już przemawiać do swych współczesnych z łamów politycznej prasy chłopskiej, w której czasem ofiarowywano łaskawie jakiś kącik na samorodny twórczość chłopską. W okresie dwudziestole-

cia stan ten okazał się już niewystarczający: powstały pisma takie jak: „Wieś — Jej pieśń”, „Nowa Wieś”, „Nurty” i szeregi innych — pisma już literackie, chociaż jakby świadomie rezygnujące z rywalizowania z „Wiadomościami Literackimi”, „Pionami”, „Kwadręgami”, same skazujące siebie dobrowolnie na prowincjonalność i drugorzędność.

Rok 1945 zmienił zupełnie sytuację polityczną i społeczną chłopstwa polskiego. Inteligent chłopskiego pochodzenia w okresie dwudziestolecia był odcięty od mas a przynajmniej mocno ograniczony w możliwościach współpracy z nimi. Dziś współpraca ta stała się nakazem historycznym chwili. Inteligencja ludowa musi znaleźć swój ośrodek krystalizacyjny na poziomie ogólnonarodowym inaczej nie spełni swoich zadań ani wobec państwa, ani wobec wsi. Oto historyczna facja, uzasadniająca potrzebę istnienia pisma typu „Wsi”.

SŁUSZNE PROJEKTY

Oczywiście, że to wszystko, co powleliśmy powyżej, nie dyskredytuje w najmniejszym stopniu słusznego projektu Przybosa, by powstało pismo będące niejako seminarium literackim dla pisarzy chłopskich. O realizację tego projektu gotowi jesteśmy walczyć wspólnie z Przybosiem. Uważamy tylko, że „Wieś” rolę tę spełnić może tylko częściowo, gdyż zasadniczy i główny cel jej istnienia jest, jak wykazywaliśmy to powyżej — inny. Sądziemy zresztą, że do prowadzenia tego rodzaju pisma bardziej uprawnieni byłiby prof. Pigoń lub doc. Spytkowski.

„Wieś” nie ma zamiaru zamykać swych łamów przed literaturą dokumentarną. Sporo jej chyba ostatnio na łamach naszego pisma. Jeżeli jednak nie rezygnujemy z drukowania wybitnych poetów i prozaików współczesnych chłopskiego pochodzenia, to chodzi nam w tym wypadku nie o konkurowanie z pismami typu „Odrodzenia”, lecz o reprezentowanie czytelnikowi wiejskiemu wzorów i przykładów dobrej literatury twórczej przez najwybitniejszych przedstawicieli klasy chłopskiej. Jest to również coś z zakresu działalności owego projektowanego przez Przybosa seminarium pisarstwa ludowego.

LUDOWI CZY NIELUDOWI?

Czy jesteśmy literatami ludowymi? Na poziomie Rudnickiej i Stopczyka — nie. Pisarstwo to odpowiada czytelnictwu zadowalającemu się „Rycerzem Niepokalanej”, a więc pewną sumą ciekawych a bezużytkownych praktycznie wiadomości ze świata i moralnych uwag umacniających w trwaniu przy tradycyjnych poglądach, uzasadniających swoisty chłopski bizantyzm i bezkrytyczny kult dawności.

Na poziomie Magrysia i Słomki też nie. Dziś ten typ literatury znajduje miejsce dla siebie, tak jak i za dawnych czasów, na łamach pism politycznych jak „Zielony Sztandar”, „Chłopski Sztandar”, „Piast” i inne. „Zamówienie społeczne” jest tu wyższe niż w wypadku omawianym poprzednio: chłop czytający „Zielony Sztandar” czy „Piast” interesuje się światem zewnętrznym nie tylko doraźnie i snobistycznie — chce on wskazać dla praktycznego postępowania, mającego na celu poprawę sytuacji życiowej. Nie wychodzi tu się jednak poza problemy życia społecznego oglądane od strony bezpośrednich interesów wsi.

I wreszcie trzeci krąg, pragnący życie klasy chłopskiej uczynić ważnym i cennym w perspektywie spraw ogólnonarodowych i ogólnopaństwowych. Tu właśnie jest miejsce „Wsi”. A na tym szczeblu kryteria bezpośredniej, zawodowej przynależności do warstwy chłopskiej nie są już jedyne i wystarczające, tak jak kryterium pochodzenia nie może być decydujące przy zaliczaniu jakiegos pisa do tej czy innej literatury narodowej. Nikt przecież poza oenrowskimi łobuzami literackimi nie kwestionował praw Tuwima czy Leśmiana do uważania się za pisarzy polskich. Na tym szczeblu hierarchii literackiej i kulturalnej, na którym działa „Wieś”, rolę decydującą gra wewnętrzna decyzja i praktyczny sens pisarskiej działalności.

Piętak, Frasiak czy Morton mogą drukować w „Odrodzeniu” czy „Twórczości” — zapewne. Ale pisarze ci chcą pozostać w kręgu problemów istotnych dla losów chłopstwa polskiego, a dla kręgu inteligencji, której „Odrodzenie” czy „Twórczość” są organami, problemy te istnieją nie jako specjalne ale jako jedne z wielu. I to właśnie sprawia, że wyodrębniamy się i skupiamy przy piśmie „Wieś”.

ANNA KOWALSKA

ZDRAJCA

Fragment z opowiadania p. t. „Marnotrawny ojciec”

Od marca coraz rzadziej mógł Krzys pokazywać się na Sydzynie. Nie minął dzień żeby nie zjawiała się u niego grupa chłopaków. Przychodzili nieraz z daleka, a prawie każdy z nich ledwo że wymknął się z rąk Niemiec. Jeden z chaty podpalonej uszedł, inny z zadrukowanego wagonu zeskoczył. Wielu przychodziło, bo zasłyszano o nim. Sławy stał się Krzys Wielgus nie tylko na rytwiańskim i staszowskim szlaku, ale i w jedrzejowskich i opatowskich stronach, pod Sandomierzem i Kielcami. Sławy z odwagi, fantazji i szczęścia wojennego, jak i z tego że chłopcom na żadne swawole nie pozwalał. Chodził po swojej świętej kieleckiej ziemi, wspaniałą i trochę śmieszny, z nosem zadartym, nie z pychy żadnej, ale z ciągłego patrzenia, bo żył tak, jakby samo życie i oddychanie mogło być dla człowieka wystarczającą radością. Jedyną swawolą były figle płatane Niemcom. Nie mógł się uspokoić z uciechy, kiedy poszukując koni w Rytwianach, aby szybciej zawieźć zastrzyki choremu towarzyszowi w lesie, natknął się na bryczkę barona von Schweinichen. Kazał mu oddać rewolwer i zaprosił go aby spokojnie wracał na piechotę do pałacu.

Cały Sichów bawił się osowiałą miną barona dźwigającego swoje olbrzymie cielsko po błocie. Ale ten właśnie niewinny figiel spowodował nieszczęście na dom Wielgusów. Sam baron, syty drapieżnik, byłby może poniechał zemsty, może nawet byłby wszystko w żart obrócił, bo miał pewne poczucie humoru a wieksza jeszcze niechęć do działania. Oddany był całkowicie dwóm namiętnościom: zbieraniu sztychów, czym się chlubił i obżarstwu, co usiłował zatajać. Najlepsze jednakże smaki pieczarek i mader, sarniny i burgunda zatrzymało ciągle grożące zjawienie się Kralewskiego. Ledwie bowiem baron zasiadał do stołu i lekko pochylwszy się wciągał dymki ulubionych dań, lub rumiany z podniecenia przelikał pierwszy kasek kuropatwy, gdy oto zjawiał się Herr Kralewski. Baron żółkł, prostował się w krześle, rzucał wściekłe spojrzenie w stronę Kralewskiego, nie prosił go siadać. Najchętniej byłby kazał lokajowi wyrzucić go za drzwi. Ale wiedział, że srawy, z którymi Kralewski przychodzi, są nie tylko przykre, ale pilne i nie blade.

Baron von Schweinichen głęboko wierzył, że piękne, urodzajne ziemie na wschód od Rzeszy zostaną uwolnione od tubylczej ludności polskiej. Wierzył w to z całą prostotą, jak w wiele innych prawd niemieckich. Oczyszczenie tych obszarów od Polaków było tylko sprawą czasu, on sam jednakże nie chciał tego widzieć, nie chciał o tym pamiętać, to była sprawa innych. Oddał oczywiście co jej się należało, oczekiwał że i ojczyzna spełni swoje. Dwaj jego synowie z pierwszego małżeństwa zginęli pod Benghazą, najmłodszy wrócił z Norwegii bez prawej ręki, ale nauczył się rysować lewą i projektował plakaty.

Baron ożenił się po raz drugi, bez miłości, ale dla porządku. W Sichowie urodził mu się Herman a teraz Bolko. Dumny był z siebie, z synów i gdy asystował przy ich kąpieli, wpadał w dobry humor. Tak, Hitler nie był może geniuszem, ale miał w sobie wielkość niemieckiego ducha i zgoutuje Niemcom królewski los na tysiąc lat. — Na tysiąc lat — lubił powtarzać z upojeniem, gdy patrzył na różowe, tłuste nogi swoich synków.

A tymczasem Kralewski każe mu pamiętać, że dokoła w lasach mnożą się polskie bandy, że rabowane są kasy i zabijani żandarmi. Baron nienawidził Kralewskiego jak prąta nienawidzi zelandta i neofite. Nienawidził go jakby to nie nieznani „bandyci”, ale właśnie Kralewski palił gorzelnie, uwalniał więźniów i mścił ustalający się ład niemiecki. Na sam widok wyprężonej postaci Kralewskiego przypominał sobie, że dokucza mu wątrobą i lekarz groził mu dietą. Ale ani wściekłość, ani wstępnie nie były w stanie uwolnić barona od doradcy. Ulegał impetowi Kralewskiego, gdyż ten miał słuszność i warował jak pies przy dobru niemieckim. Dlatego gdy zjawiał się Kralewski, nawet w czasie obiadu, baron dźwigał swoje studniunastokilowe cielsko z szerokiego, rzeźbionego krzesła holenderskiego i kroczyl obrazony do kancelarii, gdzie dyktował telefony i listy. W rozmowach z Kralewskim miał niejasne i nieprzyjemne wrażenie, że powinienby zajmować raczej jego stanowisko.

Jak ksiądz Marcin przed siostrą Górecką, tak baron von Schweinichen poczuwał się przed Kralewskim do winy. Kiedy baron otrzymał z Krakowa duży portret Hitlera w złotych ramach, kazał go powiesić w kancelarii. Kralewski zauważył, że nowy portret powinien zawisnąć w bibliotece barona nad kominkiem. Nie pomógł usprawiedliwienia i żałożenowane targi, baron musiał ustąpić. Stare sztychy poczdamskie zmieściły się na ścianie między oknami a nad kominkiem wyrosła postać Hitlera w partyjnym mundurze z świetlistym dyskretnym nimbem wokół głowy.

Nie tylko barona fascynował zły urok Kralewskiego. Nie było w Sichowie domu, nie było posilku, w czasie którego nie opowiadano by o Kralewskim. Między nim a wsią zadzierzgał się dziwny i niebezpieczny stosunek. Kralewski przez zbyt długi czas był aktorem, aby nie być świadomym, że wieś go nienawidzi, ale mimo nienawiści czeka, na co jeszcze on się odważy. Strach i ciekawość całej okolicy podcinała złe ambicje Kralewskiego.

— Ja im pokażę, zobacz! — odgrażał się, gdy jakieś dziecko go nie pozdrowiło, lub kobieta nie zeszła mu dość szybko z drogi. Odgrazanie się, które w ustach tylu ludzi oznacza zwykłe pomstowanie i bezsilność, w ustach byłego aktora stawało się zapowiedzią zemsty. Potrzebował zemsty za dawną obojętną, niereagującą na jego wystąpienia widowie, za lekceważący grymas dyrektora, za złośliwe notatki recenzentów. „Ja im pokażę” oznaczało: ja sobie dowiodę co potrafię. Nienasycony był w nim głód odwetu za swoje nieudane aktorstwo. Po latach, po przeżyciu grozy wojny czuł jeszcze chłód wiejący od mrocznej, nieprzyjemnej widowni. Zatajony, zaczajony, zimny obłąd urażonej ambicji leżał w nim i powoli niweczył każdy odruch sumienia, zakłopotania, wszelką wątpliwość. Nie mógł znieść tego, że zawiódł się na sobie samym. Za nieudane życie, obwiniał Polskę.

Nikt w Sichowie nie mógłby się domyśleć, że kiedyś Kralewski był duchowo zdrowym, życzliwym człowiekiem. Koledzy w teatrze wiedzieli tylko, że jest pretensjonalny, leniwy, że jedynie prawdziwe wzruszenie jakiegoś doznawał, to wzruszenie nad sobą. Nie mógł przejść koło lustra, żeby nie obłąd się wzrokiem, nie zapuścić spojrzenia we własne źrenice. Gdyby tak potrafił patrzeć na sceniczne kochanki byłby może dobrym aktorem, ale nie potrafił. Patrzył na nie znużonym okiem męża, któremu każda siedzieć w domu.

Nigdyby panna Ludmiła Majkowska nie została jego żoną, gdyby nie była podchwyciła spojrzenia Henryka Kralewskiego przegladającego się w lustrze. Było to w Krakowie na brydżu u jej brata Romana, świetnego adwokata, który przyjaźnił się z aktorem. Panna Ludmiła nosiła właśnie talerzyk z ciasteczkami, gdy zobaczyła w lustrze twarz Henryka Kralewskiego, a raczej jego spojrzenie tkliwe i smutne. Zapomniała odetchnąć, zapomniała o sobie, o bracie, o swoich ambicjach, o świecie, zapomniała. Dla niej to spojrzenie nieprzeznaczonemu dla siebie, zatopionemu we własnych źrenicach. Kiedy Henryk Kralewski dostrzegł zachwyconą twarzyczkę spochmurniał, od razu niechętny i znużony, ale panna Ludmiła już była zakochana i stracona dla siebie. Czekając, długo czekała żeby raz jeszcze uchwycić to spojrzenie, ale nie doczekała się go nigdy. Piękny Henryk szukał tylko własnych oczu, a potem w miłości ignorował żonę w sposób brutalny i wprost niepojęty. Zastraszona i ogłupiała ze strachu i wstydzie nie wychodziła prawie z domu. Urodziła mu troje dzieci, watyłch i tak brzydki, że nawet obcy ludzie oglądali się z jękiem za watyłnymi wodogłowami.

Kralewski występował przeważnie w sezonie letnim lub gdy główny aktor zachorował. Przez dziewięć lat mu to wystarczało, aż nagle przestało wystarczać, obraził się i opuścił teatr. Było to na kilka miesięcy przed wojną. Umarł był wtedy w Staszowie stryj Ludmiły, lekarz, stary kawaler i Kralewscy przyjechali po schedę. Tam ich zaskoczyła wojna. Ktoś namówił Kralewskiego na handel z Niemcem, który miał wagony cukru na sprzedaż. Im więcej cukru zostanie, śród nazw, tym lepiej — powiedział sobie Kralewski. Niejedną już tak przed nim pomyślał, niejedną tak zrobił. Zstał z drogi cnoty, ludzkiej się, że kiedyś będzie na nią wrócił, ale nigdy nie wrócił. Zagubił się na wielki wieków i odszedł tak daleko, że nie mógł już wrócić.

Heinrich Butz rozmawiał z nim jowialnie, częstował wódką i potraszał ręką. Zarabiał pół miliona na miesiąc, nie był więc tetrzynny. Lubił grać w karty i stroić się. Miał białe jak mleko włosy, pocziwe wejście, cere zakonnicki. Był impotentem od najmłodszych lat. Nudził się w Staszowie. Zajął towarzysztwo piątkie i został jego prezesem. Lubował się w sprośnych anegdotkach, które gorszyły Kralewskiego. Butz dziwił się skąd Kralewski tak dobrze mówi po niemiecku. Kralewski przypominał sobie, że miał babkę Niemkę. I zaczęło się, a raczej wszystko się skończyło. Kralewski stał się volksdeutschem i otrzymał posadę w niemieckim zarządzie majątku w Sichowie. I wtedy odezwał się w Kralewskim niewyżyty aktor. Charakteryzował się na Niemca w najmniejszym szczególe. Nie tylko naśladował Niemców w ich kapeluszach, płaszczach, butach, ale patrzył i śmiał się po niemiecku, miał niemieckie wzięcie, duszę niemiecką.

W miarę jak Herr Kralewski stawał się Niemcem, nienawidził wszystko co polskie. Klął na polską pogodę, na polskie drogi, na

polskich chłopów. Zienawidził widok łagodnych pól na pagórkach objętych lasami.

Jego rumiana twarz płonęła łuną złej krwi a spaśne, błyszczące od tłuszczu policzki podnosiły się ku skroniom zaganiając oczy w waziutkie szparki, którymi błyszczało okrucieństwo i zła swawola. Długo owo szaleństwo burzyło się nie tylko w krwi, a nie odważał się mu popoľgować, aż się ważył. Uderzył pierwszy raz w życiu człowieka w twarz po niemiecku. Uderzonym był młeczarsz Ludomir Łokieć, najłagodniejszy człowiek na świecie. Jechał sobie wesoło dzwoniąc pustymi blaszankami i to dzwonienie właśnie rozdrażniło Kralewskiego.

— Za co, za co? — pytał Łokieć, jak zduszony w piekle. — Rozeszło się to po wsi i sichowskie ludziki patrzyli na Ludomira z zawstyżeniem, bo każdy trochę w jego osobie został sponiewierany.

A Kralewski chodził teraz całymi dniami po folwarku i po wsi, i bił kogo spotkał. Nadśledził gdzie żarna dudnia, gdzie prosię kwiczy. Przyprowadzał żandarma i kazał aresztować gospodarzy. Jeśli był w lepszym humorze, dawał się przekupywać.

Gdy z daleka, dojrzał dziewczynę niosącą koszyk, pędził przez pola, dopadał ją jak zwierzynek. On, któremu młeczarsz dostarczały bloków masła zabierał komornicy najmniejszą osłkę, a jeśli nie zabierał to rzucał na ziemię i rozdeptywał ze śmiechem. Dozorcy Jakubisiakowi, oicu jedenaściora dzieci obie ręce potamał, kiedy go zastał śpiącego na nocnym stróżowaniu w parku.

W Sichowie nienawidzono Kralewskiego nie tylko za to co robił, ale za to co gotów był zrobić. Z dnia na dzień stawał się gorszy. Zło jak rak czyniło w nim spustoszenia. Ludzie unikali go z daleka, uciekali jak przed zarazą.

Do urzędników w biurze zarządu przychodził z wyciągniętymi ramionami. Urzędnicy bledli i ścisali podłeca. Było ich dziewięciu, a każdy z nich na inny sposób brał udział w walce podziemnej i nie mógł się dać sprowokować totrowi.

Kiedy Kralewski dowiedział się, że baron von Schweinichen zmuszony został wrócić na piechotę z Rytwian, bez pięknego rewolweru, który potulnie oddał bandycie, wyszedł do parku i przechadzał się po świeżo wywierzanych alejach. Był w jakimś niezwykłym stanie podniecenia. Najdziwniejsze obrazy oślepiały mu mózg. Drażniła go krosta na zaczerwienionym i opuchniętym nosie, chwilami aż zezował, przez nią. I to również wprawiało go w wściekłość.

Baron przechadzał się w swoim gabinecie. Od czasu do czasu podchodził do okna i spoglądał przez koronkową firanec zrabowaną w pałacu tureńskim na Kralewskiego. Bał się tego człowieka. Wstydił się, że oddał rewolwer, że się nie bronił. Ale stało się to tak szybko a chłopak był tak piękny. Pierwszy raz spotkał się z polskim bandytą. Te złociste włosy, ta szlachetna, meżna twarz, promienne, pewne siebie spojrzenie. Jakies upojenie i spokój był w tym chłopcu. Barona przesładowała myśl, że już go gdzieś widział. Zadał się. Naturalnie, przecież to twarz Aleksandra Wielkiego. Podszedł do półki i wyciągnął tom historii rzeźby greckiej. Poglądał palcami jedwabisty papier ilustracji. — So! — mruknął i westchnął niepokojnie. Zimno zjeżyło mu skórę. Znowu wątrobą. A wszystko przez Kralewskiego. Podniósł głowę, naprzeciw siebie zobaczył portret Hitlera. Uczucie lęku, niepokój, zakłopotania ścisnęły mu serce aż do młodości. Znowu front się przesunął o sto trzdzieści kilometrów bliżej Sichowa. Ale i tak ta wojna musi się dobrze skończyć, bo inaczej... Baron von Schweinichen zatrząsł się z zimna, zakrył twarz rękami i pocierał czoło i policzki, jak zawsze, gdy był zdenerwowany. Chciał ododrzeć pamięć wczorajszego snu, ale zły sen trwał go jak niestrawione jedzenie.

Tymczasem Kralewski doszedł do oranżerii. Spotkał Górecką. Szła z rękami złożonymi na brzuchu i poruszała nerwowo ustami jakby coś żuła. Skłonił się jej. Ta kobieta była jedyną istotą w Sichowie, która budziła w nim pewien respekt. Szła sztywno, żółta, siwa, nie bojąca się i pokorna a za nią sunął ksiądz Marcin w drzewniakach, z twarzą podniesioną jak ślepiec. Co ten tu robi na terenie parku? Już zamierzał go o to brutalnie zapytać, kiedy zabiegł mu drogę śmieszny, płowy szczeniak. Kralewski zdumał się, bo wydał był rozkaz, aby nikt na folwarku nie ważył się trzymać psów.

A psiaak zaszczekał, zadowolony z ранnego słońca. Przewrócił się na śniegu, podskoczył aż do kolan Kralewskiego. Z oranżerii wyszedł chłonec chudy i piegawaty z grabiami w ręku. Popatrzył z trwogą na Kralewskiego.

— Ignac? — Kralewskiemu przyszło na myśl, że Ignac musiał spłacać jakiegoś figla, bo chłopak był zuchwały i o byle co się nie płoszył.

— Co?

— To twój pies?

Chopiec sknął głową z trudem przelikał się ślinę. Bał się Kralewskiego, ale kochał swego psa i postąpił o krok naprzód.

— Zurek! — zawołał błagalnie na psa.

Zurek, chodź. — Ale Zurek upodobał sobie buty Kralewskiego i gryzł je radośnie.

— Od kogo ten szczeniak?

— Od... Wielgasa.

Kralewski zmrużył oczy i uśmiechnął się złym uśmiechem. Zabolęła go krosta na nosie. Kopnął z całych sił Zurka, który przeleciał w powietrzu z łapami wyciągniętymi w górę i zarył się w śnieg. Ignac skomlać pobiegł ku Zurkowi, chwycił go na ręce i znikł za domkiem ogrodnika.

Kralewski zaklął: — „Feuer und Flamme” — i kopnął butem grudki śniegu na drodze. Nauczy tych wszarzy porządku i posłuchu. Myślał z nienawiścią o Wielgusach. Instynkt, nieomylny instynkt, kierował go na właściwy trop. Nie domyślał się, że to Krzys Wielgus rozbroił barona i kazał mu zejść z bryczki, ale instynkt nienawiści kierował go ku gajówce. Zeszedł szybkimi krokami na gościniec. Już wiedział czego chce.

Przed domem Antoniaaka biegła pies. Kralewski poprawił na czole swój zielony kapelusz z piórkiem i strzelił do psa. Pies przewrócił się, skreślił i wyciągnął nogi do góry. Kralewski przebiegł do zagrody Kasprzaka i tam zastrzelił starego psa we śnie, celując w czoło. Potem zastrzelił psy Luby, Tomali, Rebaju, Karwańskiego i Gurandy. Zginęły broń i psy Sadaja, Niewójta, Osuchy i Olaka. Wysomińskiego i Salaty.

Kralewski wchodził na każde podwórze, zaglądał do budy, do stajni, do obory, do kuchni nawet. Przewracał butem bańki z mlekiem, wysypywał ospe z worka, jabłka z koszyka. Uśmiechał się czerwonymi, tłustymi wargami, przymrużał oczy i strzelał do kury, cichych się po kątach psów. U Wydzgów, Gondków, u Balcich chłopcy ukryli psy na styśkach.

Kajca wydobyl swoją dubeltówkę ukrytą w suszarni tytoniu, ale żona uwiesiła mu się u rąk i nie dała wyjść na próg.

Kralewski doszedł do Sydzyny już nieprzytomny z podniecenia mordem, upojony bezbrzeżnym poczuciem władzy i samowoli. Pchnął furtkę w świerkowym żywopłocie, aż jakto i wszedł w alejkę sadu. Kralewski na chwilę zatrzymał się — taka tu była głęboka cisza i spokój.

Nagle z wnętrza domu rozległo się szczekanie. — Mam cię bratku — ucieszył się Kralewski i nie pukając wszedł do domu.

Przy kuchni stała Helena w białym fartuszu z falbankami, czerwona od ognia, rozemniana. Podrzuciła na patelni naleśnik. Śmiała się z radości, jak to baron piechota wracał po grzaskiej rytwiańskiej drodze. Śmiech zakrzępnął na jej twarzy na widok wchodzącego.

Liszką cofnęła się za nogę Krzysia i zaszczekała.

— Czy nie wiesz, że zakazałem trzymać psy, a wy na folwarku rozdajecie szczeniata tego parszwego kundla.

Krzys skulił się i nagle rzucił się na Kralewskiego.

— Won mi stąd, ty kundlu niemiecki — uderzył go w nos tak mocno, że Kralewski zatoczył się do drzwi waląc głową aż hukło, ale zaraz jak sporeżyna odskoczył, wyprostował się i strzelił dwa razy w pierś Krzysia i trz w rązy w Liszkę.

Kralewski zakreślił się na piecie, aby wyjść, ale zawrócił, podszedł do kuchni i z patelni ściągnął naleśnik, zwinął go i wpakował go do ust.

— Lubie takie świeże — wykrzywił twarz w uśmiechu do znieuruchomiałej Helenki i wyszedł uchyliwszy z lekka kapelusza.

Krosta na nosie Kralewskiego przemieniła się w różę na twarzy. Leżał w gorące zarychniętym i nieprzytomnym. W południe odwieźdzał go baron. Nie śmiał na niego patrzeć, nie przynawiał się przed sobą, ale spodziewał się, że Kralewski umrze. Od dnia, kiedy Kralewski się położył, w barona jakby nowe życie wstąpiło. Wprawdzie ludzkie z lasu obrabowali zarząd majątku z koni i krów, obrabowali kasę i wystrzelali żandarmów w trzech miasteczkach, ale nie było Kralewskiego, który by mu to w przykry sposób przypominał.

Tymczasem chłopci nie umawiając się pochowali każdy swego psa w ogrodzie nad brzoźką czy wierzbą, a chłopcy przywołali nie mogły polnymi kamieniami na pamięć. Stary Guranda powiedział: — Mówi się o człowieku, że zginął jak pies, a nasze psy zginęły jak ludzie przez to tylko, że są nasze. — Przeważnie chłopci nie mówili ze sobą o tym wprost, tak bardzo ich to obeszło.

Śmierć Krzysia wielkim zmartwieniem była dla każdego w Sichowie kto go znał. Pochowali go w milczeniu, a chociaż nawyki teraz do grzebania młodych, rady sobie z tą żałobą dać nie mogli.

JAN PLESIŃSKI

Fragment z pamiętnika

MIEDZY PROZĄ DOKUMENTARNĄ
A LITERATURĄ

Oryginalny tytuł pamiętnika Jana Plesińskiego brzmi: „Własny życiorys z przygodami”. Życiorys ów odchyła się wyraźnie od ściśle dokumentarnej prozy pamiętnikarskiej ku utworowi literackiemu. Trudno oczywiście określić, czy jest to rezultatem świadomego zamierzenia autora, czy też wynikiem mimowolnego ulegania ambicjom literackim. Plesiński jest bowiem poetą (fragment z jego partyzanckiego utworu „Na tufaczce w ciemnych borach” był drukowany w 11 (18) Nr „Wsi”).

Zyciorys ów jest niezwykle interesujący jako przykład docierania pisarza chłopskiego do formy literackiej. Jest w nim i surowy dokumentarny jest i próba posługiwania się efektami literackimi, komponowania materiału przeżytych w opowieść o niewątpliwych walorach literackich (opowiadanie o chorobie, śmierci i pogrzebie ojca wyodrębnia się w zamkniętą kompozycyjnie całość).

Przyznać trzeba, że często spotykamy u Plesińskiego literackość bardzo podległą gatunkowi. Brak temu pisarzowi „z Bożej łaski” kultury artystycznej i dlatego podchwytuje on bez wyboru literackie „sposoby” zaobserwowane u bardziej zaawansowanych kolegów po piórze.

Poezję Plesińskiego — bardzo nierówną ale często ciekawą — zajmujemy się innym razem, teraz poprzestajemy na zareprezentowaniu tego autora jako prozaika. W wybranym fragmencie zachowaliśmy w zupełności styl autora, nie usuwając nawet charakterystycznych dla niego błędów gramatycznych. Ograniczyliśmy się do poprawek ortograficznych i opuszczenia dwu ustępów o charakterze czysto literackim, tworzących w drukowanym fragmencie złudnie dłuższy. Poprawki interpunkcyjne wprowadzaliśmy tylko tam, gdzie były one konieczne ze względu na zrozumiałość tekstu.

Materiały literackie w rodzaju pamiętnika Plesińskiego po wykorzystaniu ich w naszym piśmie przesyłane będą doc. Spytkowskiemu z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, jako kierownikowi pierwszego w Polsce seminarium literatury ludowej.

W chwilach trudnych i niepokojących naszą Ojczyznę Polskę, a był to rok 1919, tegoż to roku w grudniu siódmego urodziłem się w wiosce Dziebałtowie w ubogiej izdebce u takich to rodziców.

Wioska ta jest na terenie powiatu Koneckiego w Województwie obecnie Łódzkim, a w ów czas dawny Kielecki.

Los dziecinny dał mi rodziców — w późniejszych latach — spowodowało to ich późne wstąpienie w związek małżeński, dlatego i ja zapamiętałem ich w starszym wieku.

W roku 1927 na 1928 rok zaczęli mnie oni posyłać do szkoły w tejże wiosce Dziebałtowie, gdzie uczęszczałem do 1934 roku. Chwile i całe dnie szkolne i pozaszkolne schodziły różnie, bo przerywałem sobie naukę, co wywierało wielki żal w moim sercu, że inni koledzy mają swobodę myśli, swobodę nauki bez trudności i ojców zamożnych i młodych.

Mówiąc tu szczerą prawdę w tym wypadku, zmuszał mnie los letnią porą chodzić do lasu na borówki, jagody i grzyby, aby za to zyskać parę groszy na chleb: dla ojca, matki i sam się też żywić. Ojciec choć był nieuczony, lecz rozumiał, że nauka dla mnie potrzebna, bo przez nią tylko można sobie wykuć lepszy los. Ale cóż? Myśl ta nie dała przecież odmiany w życiu i trza było iść dalej po drodze z trudnościami. Rodziców miałem, należy tu dodać, niezdolnych do pracy, bo ich po pierwsze przygniatała starość, a wiemy, że starość w niedostatku, w biedzie jest o wiele wcześniejsza niż w dobrobycie, do tego byli kalekami. Ojciec w pewną ośliszłą zimę złamał rękę na lodzie, matka będąc nieco młodszą od ojca, bo o jakieś dwa lata, była także szwankująca na rękę, co spowodował tak zwany niedobry ból (zważ go postrzałem), więc ręka ta była bezwładna, a więc co mówić w takim stanie o robocie? To rzecz jasna. Mówiłem tu o roku 1931, w którym ja młody trafiłem na takie trudności, borykając się ze swym ciężkim lo-

sem. I mimo wszystko nie rozstawałem się ze szkolną ławką, ale za wszelką cenę chciałem w niej przebywać, bo interesujące to dla mnie było, z czego chciałem w swej głowie zgromadzić wiele ciekawych i pożytecznych rzeczy na przyszłość...

W takim to sensie z urozmaicheniem przykrym i bolesnym szły moje lata szkolne w domu, który był więzieniem i męką dla młodego serca i ducha, który pragnął się dźwigać codzień to wyżej, by rzucić z siebie ciemnotę, co straszne wykonywał skutki. A więc w takich to w szkole wychowywałem się warunkach do chwili kończenia lat szkolnych. Tak to skończyłem swe losy do 1934 roku.

Po ukończeniu tej szkoły siedmio-oddziałowej powszechnej, smutno mi było rozstać się z wesołą gromadą kolegów, gronem nauczycieli a tym bardziej nauką. Niejedni zamożniejsi powstępowali do warsztatów jakiegoś zawodu, inni do szkół wyższych korzystając z zamożności swych ojców. Ja nie mogłem w ten sposób pokierować swym losem, pozostałem w dość wielkiej przykrości. Pomimo chęci ćwiczenia się w dalszej nauce, musiałem zwrócić uwagę na ojca już staroży, na jego włos siwy i niemoc.

To też zastosowałem się do tych warunków życiowych i trudnego położenia, choć sam byłem bezsilny, lecz pozostałem aby być pomocą swemu ojcu i matce. A jakie były te moje pomoce? Już wspominałem o jagodach i lesie. W ten sposób spędzałem trzy lata takiego zarobku, który też był dla mnie trudny, bo gdy przyszedł gajowy, wszystko zabrał i marzył był dzień i zarobek. W roku 1937 na wiosnę zacząłem robić w pobliskim mieście na składzie drzewa, przez całe lato. Choć mały był ten zarobek, bo parę groszy wynoszący. Tak walczyłem ze swymi trudnościami, które mnie otaczały w moim młodym wieku, a wokoło ciężkie chwile do znośnienia przez całą zimą i lato. Z następnym rokiem, jaki po siódmym ósmym nadszedł, więcej przyniósł mi zmartwienia i trudów. On to był dla mnie rokiem... troski, bólu serca i kłopotem nieopisanym... Bo chcąc go dziś opisać, to żal się odnawia niepomahomany.

Z nastaniem tego roku trudna była zima do przeżycia, bo nawiedziła choroba ojca w miesiącu lutym z krótką przerwą na marzec i kwiecień. Następnie w maju powróciła ta gniebicielka, która zakończyła swe dnie smutnym i bolesnym ciosem... I oto ten rok 1938 był dla mnie: rokiem smutku i żałoby... On dla mnie przyniósł okropny cios, który był śmiercią ojca... W onym to czasie ja robiłem na składzie drzewa gdzie i poprzednio.

Lecz w ociążałym stanie schodziły dnie mej pracy. Zbiegającymi dniami w tym czasie majowym — pod koniec, a z dnia na dzień choroba okazywała bliską śmierć... I oto dnia 27 maja w piątek widząc pogarszający się stan choroby, wezwaliśmy księdza — by pośpieszył z ostatnią przysługą choremu. Ja — od tego wspomnianego dnia 27 czerwca w większym byłam pogrążonym smutku — jednak nie mogłem przerwać swej pracy, gdyż ona tylko powstrzymywała nasze życie trudne. Od tego dnia życie w naszym domu podobne do trzech baniek unoszących się na wodzie podczas deszczu... Tak nasze życie unosiło się wspólnie do 30 maja. — Tego dnia ranb nie mając chęci iść do pracy — bo myślałem, że to dzień i chwile ostatnie, współżycia z ojcem. — Choć czuł się bardziej chorym — lecz pocieszył mnie gdy pytałem go o zdrowie. Pocieszył mnie tymi słowami: „O... mnie — się nie martw... — bo... — dzisiaj mi... trochę — lepiej, czuję... się... zdrowszym, ty... idź do — roboty... bo ja... choćbym... i... umarł... to ty robić musisz... Bo... bez roboty — nie będziesz... mógł... żyć z matką...” Ja po tych słowach poszedłem do pracy do miasta, choć myślałem serce cały dzień niepokoiła: — Czy ja jeszcze zastanę ojca, aby mógł przemówić do mnie słowo jakie? Dzień ten zdawał się dla mnie długi jakby rok cały; — nie mogąc doczekać się wieczora, aby móc ulżyć z serca ten ciężar myśli tak memu sercu ogromnym. Wreszcie nadeszła ta godzina — piąta, tego dnia poniedziałkowego — która mnie uwolniła od pracy. Nogi choć zmęczone całodziennym chodzeniem podążały szybko naprzód, mijając kręte ulice miasta i siedem kilometrów szosy. Oczami nie widząc nic po drodze, tylko utkwilem wzrok w stronie rodzinnej wioski. A myśli utonęły w głębokim pytaniu: Co też tam dzieje się w domu? Tak siedłem prędko, siedłem jakby mnie jakiś wi-

cher podrywał, że nawet nie czułem stąpania po nierównej drodze polnej prowadzącej od wsi do szosy. A byłem tak głęboko utopiony w myślach — że dopiero oprzytomniałem skracając na owe podwórce... Serce uderzyło jak młotem; jaki obraz uderzy mnie w oczy, gdy uchylę drzwi rodzinnej chaty? Lecz nim drzwi zdążyłem otworzyć, będąc jeszcze w sieni, doleciało mnie ciche słowo wyszeptane z ust ojca... To mnie pokrzepiło. Wchodząc do domu przywitałem ojca, jakbym rok był gdzie we świecie. Bo też ten dzień rokiem mi się wydawał od wschodu do zachodu słońca. Zapytałem kilku słowami ojca o zdrowie? Ojciec nie chciał mnie martwić, odpowiedział cicho, a nie kazał się męczyć pytaniami. Więc nie chciałem się sprzeciwiać.

Próbowałem użyć krótkiego zdrzemnięcia, lecz obudził mnie głos matki czuwającej nad chorym. „Wstań, pomożesz ojcu podnieść się na ziemię”. Ja czyniąc co mi powierzono pytałem: tato, lepiej wam? prowadzić was na łóżko?... Odpowiedź cicha, przerywane „...a... prowadź mnie...” Tyle, że zdążyłem doprowadzić, podtrzymując ojca chwiejącego się ze słabości, próbując ojcu pomóc położyć się na łóżko, a ciało, widzę, staje się bezwładne... i mówię znów: — tato nie powiecie co jeszcze do nas? Nie słyszałem już głosu, tylko zobaczyłem ruch głowy na znak, że nie... W tym czasie choć z żalu mdlejący widzę, że już ojciec mnie odchodzi, zapaliłem gromniczkę, dając w rękę, w którą po raz ostatni w tym czasie ucałowałem i szepczę słowa modlitwy, a w serce wchodzi wieczna noc smutku i żalność żałobna...

Oto tak się zakończyła ostatnia chwila wspólnego życia w naszym domu rodzinnym, składającym się z trzech osób, o godzinie jedenastej w wieczór. Okropna to nadeszła chwila, jaka wpisała się w los mojego życia. Zarobek, jaki miałem, skromny, nie starczał na nas troje przy najuboższym obchodzeniu się z żywnością. A co dopiero mówić, gdy zobaczyłem ojca zmarłego. Płacz, boleść w sercu, którą odczuwałem i matka nie dawała sposobu. A z litościwymi ludźmi w koło siebie nie mogłem się spotkać, którzy by mi mogli doradzić i pomóc w moim skłopotanym stanie. Nie było obojętne człowiekowi, co by mi mógł przetrzymać mój żal nieopisany, abym prędzej dostał otrzeźwienia i mógł dać radę w tej żałobnej chwili...

Serce mi się zamknęło, nie mogąc przemówić słowami, a nogi odmawiały posłuszeństwa stawiać dalszych kroków, aby móc znaleźć sposób pochować ciało zmarłego ojca... Na wpół mdlejący, nieprzytomny prawie i niepodobny do siebie, jakbym ze śmiercią ojca stracił swą pamięć, rozum i przytomność...

Poszedłem do miasta. Ale co do tego smutku, to jeszcze myślałem całą drogę, czy te myśli ciągnące mnie w to miejsce nie zawiodą, i czy z większym żalem bez niczego nie muszę powracać do domu? Jednak na tyle Opatrzność Boża sprzyjała mi w tej trudnej chwili, bo choć u tego pracodawcy nie miałem ani grosza zarobionego: lecz mówiłem mu o 25 zł w tak wielkiej potrzebie, a później mu odrobie. I tak się stało: Czego nie mogłem znaleźć pomiędzy katolikami, którzy mnie otaczali, to tej pomocy uzyskałem u żyda, co się nie obawiał niczego, tylko dał na moje jedno słowo. O jak to dla mnie dziś przykro wspominać. A jak to nie wygląda gładko — lecz wstydliwie, że pierwej zmieknęło serce żydowskie widząc i słysząc mój los, niż setki otaczających mnie znajomych. Bardziej harde i nieużyte okazały się w tym czasie dla mnie serca „katolickie” ludu. A więc ośrodek pierwszej pomocy pieniężnej znalazłem u Żyda, u którego poprzednio pracowałem. A drugą pomoc w swym kłopotcie uzyskałem — powiem o tym później. Więc po uzyskaniu tych paru złotych, choć z mego serca słyhać było łkanie, z wielkim żalem kupiłem trumnę i ubranie. I znów zostałem bez grosza. — O, Boże... mówię, co robić teraz? A więc ostatnią pomoc dalszego pogrzebu znalazłem: u Czigodnego Księdza tej parafii, do której należymy.

Ciężkie to w moim życiu były te chwile po śmierci ojca. A dalej do końca tego roku ósmego spotykałem się z różnymi trudnościami, które przeplatały się w moim życiu. A prócz tych trudów spotykanych, spadały ciężkie warunki na tę robotę moją, bo cały ruch pracy światowymi niepokojami był wstrzymany. To też z onego zarobku wyżyc było trudno. A tym bardziej dla mnie, gdy trza było pokrywać w czasie potrzeby porobione koszty.

Dyskusja: „kto jest chłopem”

Dopokąd chłopem

Zagadnienie poruszone przez ob. Barchanowską — nie jest ani nowe, ani blade, jak twierdzą niektórzy. Dobrze, że pytanie takie padło, a jeszcze lepiej, że wokół niego rozpętuje się dyskusja. Powie ona wiele, bo problem jest ważny. Główny sens jego tkwi w dalszej i przedwojennej przeszłości, kiedy to największą troską kształcącego się chłopca było dobić się *stanowiska*, zerwać ze wsią, przestać być chłopem. Były po temu powody. Mały procent uczącej się młodzieży nie dawał tyle siły, ażeby na uczelni stworzyć swój własny świat i odpowiedni klimat sprzyjający rozwojowi chłopskiego samopoczucia i specyficznych wartości przywiezionych zę wsi. Lekteważący, pogardliwy, często wręcz wrogi stosunek profesorów i wychowawców, podobne nastawienie przytłaczające większości otoczenia uczniowskiego, pochodzącego z wyższych sfer, mocne uczucie zazdrości kłujące duszę upośledzonej młodzieży wiejskiej na widok wygodnego życia uczniów z poza wsi pochodzących — stwarzały pewien uraz psychiczny, którego konsekwencją było masowe wyszerzanie się i powszechna renegracja na rzecz miasta.

Dziś, gdy w mury szkół wwalila się bujną falą młodzież wsiowa — pytanie to znów nabiera dużej wagi. Dokąd chłopami pozostaną dziesiątki tysięcy wsiolaków, okupujących wszystkich typów uczelni, drących się uparcie o głódzie i chłodzie, trudną ścieżką ku światu. Czy tylko, jak dawniej, po dyplomie — czy dalej, na zawsze, po grób? Z prawa i z lewa słyszy się głosy pełne obaw i troski, czy chłop ska ofensywa na szanę oświaty nie wychodzi li tylko z materialnych przesłanek w kuszący blask mitu o pańskości, w jedwabne życie w pachnących salonach, — zdala od wsi, jej ludzi, spraw i trosk.

Losy wsi, jej jasna i dobra przyszłość, jutrzejsze dzieje chłopca zależą w olbrzymiej mierze od pozytywnego ustosunkowania się do tych spraw wszystkich, którzy dziś kształcą się na budowniczych nowej wsi i chłopskiego zwycięstwa. Czy mając dyplom nie przestaną czuć się chłopami i po chłopsku pracować będą dla wsi choćby z dala od niej — czy przekreślając pochodzenie zdradzą wioskę i zetracą się w mieniasyconym wirze miast.

Choroba na „pana” jest na wsi epidemią powszechną — cierpią na nią, podświadomie w mniejszym lub większym stopniu wszyscy. Choćby tylko w najskrytszych marzeniach i snach. Najmocniej dotyka ona właśnie kształcącą się młodzież, która poprzez trud nauki wypracowuje bezpośrednie możliwości osiągnięcia ideału. Stosunek rodziny uczącego się i całej społeczności wsiowej do tego zagadnienia jest tu momentem najciekawszej bodaj wagi. Uważa się tu przecież wiedzę nie za „środek dający pełnię człowieczeństwa” — ale *pańskości*, *dostojeństwa*, *żłób*. Człowieka, który by poprzez wiedzę nie doszedł do majątku i „honoru” uważa się u nas za niedojde, bejdoka, dziada. Przekonanie to nie uległo przez wojnę dużym zmianom — obowiązuje nadal.

Dlatego dziś tak bardzo ważnym jest problem internatów i burs dla młodzieży chłopskiej, gdzie by specjali wychowawcy dbali żarliwie o to, ażeby dziecko chłopskie niemniej niż fizyki czy matematyki uczyło się poznawać, szanować i kochać środowisko, z którego wyrosło, ażeby wartości wyniesione ze wsi nie zanikały, lecz narastały w szlachetną siłę, do minującą ponad wszystko poprzez całe życie chłopca — inteligenta.

Kiedyś (oby jak najrychlej), gdy wieś poprzez ogólną regenerację podniesie się na poziom zachodnio europejski i przestanie być rezerwuarem nędzy, upodlenia i dziadowizny, gdy chłop światły i świadomy swej zorganizowanej siły podniesie wysoko czoło i dłoń sprężnie z najważniejszymi sprawami państwa, nie na sezon, nie od „szczególnie ciężkiej chwili”, ale zawsze, pilnie, mądrze i mocno — wtedy miano „chłop” stanie się synonimem godności, szacunku i honoru.

BIENIEK JÓZEF

PYTANIA

Zachowanie związku ze wsią widzi Bieniecki również i w wypadku pozostania wykształconych synów wsi w mieście. Warto byłoby sobie odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób ów związek powinien się wyrażać. Czy tylko w uczuciowym stosunku pamięci, czy w szeregu rzeczowych aktów współdziałania? Spodziewamy się, że ktoś je wyliczy i bliżej określi.

To jedno pytanie. Drugie — jakie to wartości wyniesione ze wsi ma wykształcony chłop zachować i umieć je wyrazić? Czy te wartości nie ulegają przemianom w biegu historii? I czy nie polegałyby one w pierwszym rzędzie na tym, co się zwykło mówić o wsi z dobrą wiarą: to rezerwuariat świeżych sił narodu. A świeże siły mają pokazać: wytrwałość, ambicję i odpowiedzialność społeczną za cały naród. I czy właśnie przez te cechy wieś wchodząca w naród nie zachowuje, nie wywrze na narodzie piętno „chłopskości”? Umiejmy zobaczyć nowe formy „chłopskości” — nowej historii Polski. jak

Nr 3 (31) „WSI” ZAWIERAŁ:

Tadeusz Papier: Wielka ofensywa, Jan Bolesław Ożóg: Matka, Anna Kamińska: W sprawie poezji, Tadeusz Byrski: Syzyfowe prace, J. A. Król: Złoty płasek jego rzeki, Stanisław Telega: Wyprawa, Zdzisław Skwarczyński: Po wjeście o cierpliwym plecthurze, Edward Wrona: Moja wioska, Jawory, Poległym Radzieckim, Paweł Kubisz: Pogańska heresia, Adolf Olechnowicz: Jeden dzień w Uniwersytecie Ludowym oraz noty i ogłoszenia. 5 ilustracji, 8 stron.

NADSYŁAJCIE KSIĄŻKI

Redakcja „Wies” zwraca się do wszystkich zakładów wydawniczych o nadsyłanie pod jej adresem dla celów recenzyjnych co najmniej po 2 egz. nowych wydawnictw.

FAKTY I ZDANIA

KONGRESY STRONNICTW LUDOWYCH

Odbyły się ostatnio kongresy obu polskich partii chłopskich: S. L. i P. S. L.

Kongres S. L. opierając program polityczny stronnictwa na trzech zasadniczych podstawach: na ścisłym przemyśle z narodami słowiańskimi, na zbrataniu i współpracy ze stronnictwami demokratycznymi (wyrażającej się między innymi przez stworzenie jednolitego bloku wyborczego), oraz na zdecydowanej postawie w stosunku do polskiego i międzynarodowego wstępnictwa — wysuwa szeroki program gospodarczy. Żąda doprowadzenia w jak najkrótszym czasie do końca reformy rolnej, oraz przyspieszenia komasacji gospodarstw rolnych. W związku z upaństwowieniem banków i wielkiego przemysłu domaga się opracowania planu, który uwzględni rozbudowę przemysłu, zapewni odbudowę zniszczonego rolnictwa, doprowadzi przez rozwój spółdzielni chłopskiej i robotniczej („każdy ludowiec winien być członkiem Związku Samopomocy Chłopskiej”) do sprawiedliwego podziału dochodu społecznego w Polsce. Kongres domaga się rozbudowy komunikacji, poczty, telegrafu, telefonu i radia na wsi. Wśród całego szeregu postulatów kongresu wzywają chłopów do wykonania świadczeń rzeczowych. Jednakże świadczenia te, zgodnie z oświadczeniem Rządu, kongres traktuje jako dług zaciągnięty przez państwo u wsi. Dług ten winien być spłacany przez dostarczanie artykułów przemysłowych po cenach dostępnych dla chłopów.

Kongres nie pomija ważnej sprawy młodzieży. W szczególności kongres żąda, aby przeprowadzona była dalsza intensywna rozbudowa państwowego szkolnictwa wszystkich stopni — powszechnego, średniego oraz wyższego. Dostęp do tych szkół musi być dla młodzieży wiejskiej zagwarantowany, oprócz tego musi być prowadzona największa akcja świetlicowa i biblioteczna na wsi. Kongres rozpatruje także sprawę szerszego rozchodzenia się pism ludowych w terenie.

Te wielkie zmiany w życiu wsi muszą pociągnąć za sobą również zainteresowanie się dola pisań i pracowników kultury na wsi. Pisarze chłopscy winni być otoczeni opieką, aby mieć możliwość działać, tworzyć i ukazywać nowe drogi. Polski Ludowy.

Odbyły w kilka dni później kongres P. S. L. również wychodzi z założenia współpracy z Rządem Jedności Narodowej, biorąc pod uwagę zadania jakie stoją przed narodem polskim w przedmiocie jak najszybszej odbudowy kraju, zagospodarowania i załudnienia ziem odzyskanych, przeprowadzenia reform społeczno-gospodarczych po linii interesów i pragnień chłopów i robotników, repatriacji i zaopatrzenia i osiedlenia milionów obywateli z zagranicy. Kongres P. S. L. uznaje konieczność współpracy z innymi partiami demokratycznymi, jednakże w wypowiedziach mówców dominuje żądanie powiększenia dla Stronnictwa mandatów we wszystkich dziedzinach życia państwowego, we współodpowiedzialności i rządzeniu państwem na wszystkich szczeblach administracji, samorządu i we wszystkich ogniwach życia społecznego i gospodarczego. Ta postawa każe wstrzymać się kongresowi od decyzji w sprawie taktyki wyborczej — uzależniając krok swój od wyniku przeprowadzonych rozmów z innymi stronnictwami w Rządzie Jedności Narodowej.

Sądząc z mowy wicepremiera Mikołajczyka można przypuszczać, że nie ma większych nieporozumień między S. L. a P. S. L. jak tylko różnice taktyczne i spór o ilość mandatów. Są jednak i różnice bardziej istotne. Warto tu zwrócić uwagę na wypowiedź wicepremiera w sprawie prób dzielenia warstwy chłopskiej na biednych i bogatych. Kongres P. S. L. nie bierze pod uwagę faktu, że istnieje na wsi podział i gospodarstw i społeczny na bogatych i biednych. A tym mniej konsekwencji politycznych, wynikających z tego podziału. Wicepremier Mikołajczyk bardzo szeroko odpiął zarzuty opozycyjności i reakcyjności stawiane P. S. L.

„Pracujemy, bierzemy współodpowiedzialność, a próbuje się nam mówić: opozycyjność w stosunku do tego rządu. Czy opozycja polega na tym, że wypełniając obowiązki, równocześnie domagamy się wykonania naszych praw? Owszem mówimy, chociaż to jest niepopularne, bardzo często bolesne na niektórych terenach, mówimy i będziemy mówić, że muszą być jak najszybciej i jak najpełniej oddane świadczenia rzeczowe, że musi być uregulowany nasz system gospodarczo-aprowizacyjny, o którego stworzenie nam chodzi, żeby robotnik miał chleb, żeby ten, kto nie ma czym zasiał, miał zboże. Musimy zdać świadczenia rzeczowe i my bierzemy na siebie to i mówimy.”

Owe właśnie polemiki i wyjaśnienia były bardzo charakterystyczne dla kongresu P. S. L. Jeżeli były one podejmowane istotnie w celu rozwiania nieistotnych nieporozumień, to nie

wątpliwie ich rezultatem powinno być przyspieszenie zakończenia rokowań z innymi stronnictwami w sprawie wspólnego bloku wyborczego.

Oczekiwaliśmy od obu kongresów, że może zapadnie na nich decyzja podjęcia prób likwidacji dotychczasowego rozbięcia ruchu ludowego. Prób tych, niestety, nie podjęto z żadnej strony. Być może, że współpraca obu partii chłopskich we wspólnym bloku stronnictw demokratycznych umożliwi zbliżenie się między nimi. Dlatego też kwestia wejścia P. S. L. do wspólnego bloku wyborczego wydaje się nam ze względu na ogólne dobro wsi nader ważną.

NOWE KSIĄZKI

Piotr Greniuk i Zofia Turska.

„KOŚCIUSZKO W PIEŚNI I W POEZJI”

Pod takim tytułem wyszła z druku broszura (112 stron) nakładem Wojew. Urzędu Ziemięskiego — Wydział Oświaty Rolniczej w Łodzi, ul. Traugutta 14, zawierająca: wstęp, obszerny życiorys Tadeusza Kościuszki, jego odezwy do narodu i raporty, pełny tekst Uniwersału Polanieckiego, bogaty wybór wierszy, pieśni z nutami i wskazówkę reżyserską dla organizatorów uroczystości 200-lecia urodzin Wodza w sukcesie. Cena broszury 40 zł, z przesyłką 45 zł. Nr konta PKO — Łódź 801.

Dr Mieczysław Kafel

„EKONOMICZNE OBLCZĘ ZAWODU DZIENNIKARSKIEGO W POLSCE”

Ukazała się ostatnio pod powyższym tytułem nowa książka (nakł. Księgarni „Czytelnik”, Kraków, pl. Mariacki 9) omawiająca sytuację zawodu dziennikarskiego w Polsce. Autor podejmuje próbę prawnego zdefiniowania pojęć takich jak: „dziennikarz”, „zawód dziennikarski”. Następnie omawia dokładnie sytuację gospodarczą tego zawodu, podając przytem ciekawe informacje na temat dziennikarstwa w czasie okupacji.

Nie pominał również autor zagadnienia czytelniczo-gazet na wsi. Oto co czytamy tam w związku z tym zagadnieniem:

„Ruch czytelniczy na wsi w ostatnich latach międzywojennych znacznie się wzmógł. Wśród całej swej masy zaczęła się interesować sprawami publicznymi i zaczęła czytać. Docierały na wieś nietylko tygodniki ale i dzienniki, znajdowały na wsi wdzierające konsumenta. Niestety, polityka wydawców a w wielu wypadkach i władz państwowych nie doceniały tego konsumenta. Dowodem jest choćby stała bolączka w postaci niedostatecznej sieci pocztowej. Gazy przeznaczone dla odległej wsi leżały nieraz po kilkanaście dni na odległej „centrali” pocztowej i dopiero przez „okazje” docierały do czytelnika. Wydaje mi się — pisze dalej autor — że jest to sprawa pierwszorzędnej państwowej wagi. Obok hasła elektryfikować, radiofonizować wieś, winno równorzędnie brzmieć hasło trzecie: upoźnić wieś. Rozszerzyć jak najrozszerzając sieć pocztową, co jest prawie równoznaczne z podwojeniem czytelniczo-gazet.”

Jakże aktualne są obecnie te uwagi.

Z książką tą winni zaznajomić się (poza dziennikarzami zawodowymi) wszyscy korespondenci pisujący do gazet. Znajdą tam dla siebie wiele interesującego materiału. (wb)

Antoni Olcha

KSIAZKA O WEDRUJĄCEJ NAPRAWIE

W najbliższych tygodniach ukazać się powieść reportaż Antoniego Olchy o wsi Naprawie podbeskidzkiej, z której blisko połowa ludności wywodziła na Zachód nad Niszę.

Antoni Olcha, kiedyś redaktor „Wsi i jej pieśni” wydawanej w Naprawie, tej samej, o której tak tragicznie pisał Jalu Kurek w powieści „Grypa szaleje w Naprawie” w ubiegłym roku zmobilizował swą wieś do nowej akcji — do wędrowki na nowe osiedlenie. Sam towarzyszył i pomagał przy osiedlaniu się nad Niszę. Pisma zamieszczały latem i jesienią jego sprawozdania i reportaże z gromadzkich poczyną Nowej Naprawy. Kreślił w nich sylwetki swoich znajomych, dzielnych organizatorów chłopów, opisywał pomysły, metody i doświadczenia tej „ruchomej” wsi.

Za dwa miesiące nadejdzie wiosna. Ruch kolonizacyjny znów ożyje. Książka Olchy powinna być jaskółką tego ruchu. Obrazem doświad-

czeń, przeżytych przez zorganizowaną grupę chłopską pouczyć nowych wędrowców, ożywić ich nadzieje i mięską wolę.

W najbliższych numerach „Wsi” zamieścimy kilka fragmentów z książki Olchy. jak.

BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH

W najbliższym czasie ukazać się na półkach księgarskich pierwsze publikacje poetyckie wydane w ramach „Biblioteki Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Polskich”.

1. Paweł Kubisz: „Przednówek”.

2. Józef A. Frask: „Urodzony w żdźble”.

3. Stanisław Pięta: „Dom rodzinny”.

Książki powyższe będzie można nabywać normalnie w księgarniach w całej Polsce. Można je zamawiać będzie również pisemnie listami skierowanymi do Sekretariatu Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Polskich (Łódź, ul. Andrzeja 12, m. 6) i wtedy zamawiającemu przysługiwać będzie 20% zniżki.

WYNIKI KONKURSU NA SZTUKĘ SCENICZNĄ DLA ŚWIETLIC

Konkurs na krótki utwór dla świetlicowych zespołów scenicznych, zorganizowany przez Woj. Wydział Kultury i Sztuki w Łodzi, który zapowiadaliśmy w poprzednich numerach „Wsi”, został zakończony. Spośród wielu sztuk, jakie zostały nadesłane, sąd konkursowy wyróżnił: „Gruszę na miedzy” Stefani Zawadzkiej (pierwsza nagroda — 5000 zł), „Dobrze zrobił” Leopolda Rybarskiego (druga nagroda — 4000 zł) oraz „Wystawę sklepowa” Teodora Goździkiewicza (trzecia nagroda — 3000 zł). Ponadto wyróżniono siedem innych utworów scenicznych. W sądzie konkursowym byli: St. Ryszard Dobrowolski, prof. dr Juliusz Saloni, prof. Aleksander Zelwerowicz, Stanisław Rembek, Jan Wiktor, Jerzy Zaborowski i inni.

Poziom nadesłanych prac był wysoki. Wśród sztuk nie wyróżnionych znajdują się niektóre o dużych walorach literackich i teatralnych, nie odpowiadające jednak warunkom konkursu ze względu na wielkość lub trudności wystawienia w świetlicy.

W jednym z najbliższych numerów zamieścimy obszernie omówienie wyników konkursu pisma członka sądu konkursowego Stanisława Rembeka.

KURS PRACOWNIKÓW T. U. L.

W związku z kursem dla kandydatów na pracowników uniwersytetów ludowych Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej podaje do wiadomości zainteresowanych, że na kurs może być przyjętych tylko czterdzieści osób. Muszą to być zatem ludzie, którzy odpowiadają warunkom stawianym wychowawcom uniwersytetów ludowych i deklarują istotny zamiar podjęcia się pracy w tej dziedzinie.

Kandydaci spośród czynnego nauczycielstwa mogą otrzymać urlop od Ministerstwa Oświaty, jeśli zostaną przyjęci przez kierownictwo kursu i jeśli ich podania o urlop, skierowane drogą służbową, wpłyną do Ministerstwa Oświaty do 30 stycznia br. Koszty przejazdu oraz utrzymania na kursie pokrywa całkowicie Tow. Uniw. Lud. RP.

Przywieźć ze sobą bieliznę osobistą, pościelową oraz koc.

Do podań o przyjęcie na kurs (kierowanych pod adresem: Kurs dla pracowników uniwersytetów ludowych, Kraków, ul. Szczepańska 2, Wydział Oświaty Rolniczej WUZ) dołączyć trzeba życiorys kandydata i wymienić wyjazdową stację kolejową ze względu na możliwość uzyskania zniżki kolejowej.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

NASZ WIELKI KONKURS

„Jakiej powieści chce wieś?”

LIST DO REDAKCJI

Kochany Naczelny Redaktorze „Wsi”.

Wiem, że zakłiesz „brzydki” aż Ci fajka z ust wyleci, gdy zobaczysz mój tasemcowy, w dodatku inkrustowany „gwarą” wiersz i wykonasz paskudny ruch ręką w stronę kosza recykcyjnego. Na wszystko proszę jednak przebaczyć i nie popełniaj mordu. To już ostatni raz; moja wina, tłukę się pięścią w pierś — wszystko przechodzi na zupełnie inną drogę. Ja tak chciałem się uczyć przez całe moje życie, tylko nie wiedziałem jak. Otworzyła mi oczy ostatnia wzmianka o mnie w „Kuznicy” R. Matuszewskego. Po przeczytaniu jej, wyrzuciłem ze swej biblioteki wszystkich poetów, których dotychczas czytałem. A mam tego taką masę. I swoi i obci. Jak chcecie. Możecie ogłosić we „Wsi”, że sprzedaję poezję na makulaturę... na funty. I krytyków także wyrzuciłem, gdyż pisałem, że to wielkość, a to było bzdura. Proszę mi natomiast przysłać (jeżeli są w Z. Z. L. P. na składzie) ostatnie tomiki Ważyka, Samodurera i koniecznie R. Matuszewskego. Może jeszcze jest inny jakiś znakomity... świetny, nowoczesny poeta. Zapomniałem o kim to pisał Staś Pięta. — Ja jestem prosty podhalański chłop, ale ja to wszystko przeczytałem. Dokładnie. Po prostu pochłonę i proszę mi wierzyć, że jestem dosyć zdolny i jeszcze się nauczę pisać dobrze wiersze. Wyrzekam się na zawsze spóźnionych epok literackich.

Nie tylko dorwę się literatury, jak złodziej pańskiego drzewa w lesie, co mi wymawia ob. Mat. R., ale wejdę do niej drzwiami czy oknem jako poeta ogólnopolski. Twardy ze mnie chłop i będę się uczył. Jak bluszcz owinę się kolo kolan wszystkich znakomitości a swego dopnę. Nie bądźcie zarozumiali obywateli z „Kuznicy” a raczej pomóżcie ciemnemu chłopu. Na tym kończę. Acha (jeszcze Ci, kochany Redaktorze na ucho szepnę. Ale o tym... „szepnę”). Tylko miej dla siebie. Cicho! mówię szepsem). Mnie zupełnie nie chodzi o to, czy będę ogólnopolskim, czy ogólnochłopskim, czy ogólnopolskim „mościewym” poetą. Mnie to wszystko „w kół”, jak się u nas mówi. Ale ja mam złośliwy temperament i gdy dopnę swego, będę produkował wiersze na kilogramy. Wszystkie pisma będą zalane. Wszystkie honoraria zgarnę dla siebie. Moc... moc pieniędzy. Nakupię masę gruntów w Kościelisku i będę „kulałem”. Ja z prawa wtenczas, a Ważyk do mnie z lewa. To będzie dopiero pozycja dla przyszłych pokoleń literackich i sława dziejowemu zwycięstwu Ważyka. Bo dotychczas to ja z lewa a Ważyk z prawa t. j. od strony oświetlonego latarniami Karpowa.

Z pozdrowieniem ludowym i mocnym uściskiem dłoni zostaje

NĘDZA KUBINIEC STASEK

KSIAZKI NADESLANE

Teofil Kowalczyk: „Tamtych dniom” (poezje, Kraków 1943. Nakładem drukarni „St. Jęzowski” w Miechowie. Str. 31.

Jan B. Ożóg: „Kraj” (poezje, Kraków 1945. Z. Język Zaw. Literatów Polskich str. 30+2.

Géza Gárdonyi: „Chłopska dziewczyna” (opowiadanie przetłumaczył z węgierskiego Tadeusz Fangrat, Księgarnia Wł. Wilak w Poznaniu, Str. 30+2.

Jan Kocznur: „Pieśń o zbójniku Proćpaku”. Kraków 1945. Nakładem drukarni „Patria” w Krakowie. Str. 38+2.

KOMUNIKAT ODDZIAŁU WIEJSKIEGO

Z. Z. LITERATÓW POLSKICH

Sekretariat Zarządu Głównego Odd. W. Z. Z. P. komunikuje, że wszelka korespondencja dotycząca Oddziału kierować należy na adres: Oddział Wiejski Z. Z. L. P. Łódź, ul. Andrzeja Nr 12.

PRENUMERATA „WSI”

w Łodzi i na prowincji zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Redakcja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98;

Dział prenumerat „Czytelnika” ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.

Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.

Na prowincji:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 — Kolno — „Czytelnika”, z zaznaczeniem: na „Wies”.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96.

D-06340

— KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frask Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Żwirki 2.